W NUMERZE: Marian Maj o rodzinnym mieście J. Gagarina ■ Wiersze Jerzego Jarmołowskiego i opowiadanie Ludwika Świeżawskiego ■ Jerzy Witczak o kłopotach z miłością ■ Tadeusz Gicgier o kontaktach Marii Dąbrowskiej z Ziemią Białostocką ■ Wiesław Pusz o wierszach sztambuchowych ■ Eugeniusz Iwanicki o motoryzacyjnych usługach ■ Jerzy Czech o protestach ludzkości przeciw bombie „N".

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 16 (1062) ROK XXI | 16 KWIETNIA 1978 R. | CENA 3 ZŁ

Foto: J. Maroszek

TADEUSZ GICGIER

ODYSEJE MARII DĄBROWSKIEJ

Ulica Mazowiecka w Białymstoku, przy której mieszka od lat doktor Berta Szaykowska, znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie Siennego Rynku, a więc dzielnicy bud, budek i straganów. Dom, choć również drewniany, stoi głęboko w podwórzu, jakby uciekł od tej ulicy. Wrażenie to potęguje płot z niewysokich sztachet, którym odgrodził się „od reszty świata".

Pani doktor, nim poprowadzi mnie do swego pokoju, pokazuje mi pokój, w którym przez pewien czas gościła Maria Dąbrowska. Potem idziemy długim korytarzem, mijamy jakiś mroczny hall i wreszcie obszerna izba z oknami wychodzącymi na ogród. W oknach nagie jeszcze gałęzie bzu, na grządce tuż pod oknami – rozkwitłe krokusy.

— Po ostatniej zimie ocalały tylko te lila. Białe wyginęły, widocznie były mniej odporne — powiada z uśmiechem pani doktor.

Siadamy przy kaflowym piecu i rozmawiamy o Marii Dąbrowskiej. Ostatni raz była w tym domu w roku 1940, w okresie świąt wielkanocnych. Przyjechała ze Lwowa ze Stanisławem Stempowskim, przyjacielem jej zmarłego męża, który po jego śmierci opiekował się nią i jej pomagał.

— Byliśmy wszyscy bardzo przygnębieni tragicznymi wydarzeniami wojny — wspomina doktor Szaykowska. — Pani Maria dużo czytała, prawie nie wychodziła z domu. Wzięła ode mnie kilka książek Orzeszkowej, czytała je na nowo, zachwycała się tymi książkami. Wieczory spędzaliśmy przeważnie na słuchaniu opowiadań pana Stempowskiego, był on urodzonym gawędziarzem, wiele z tych opowieści odnalazłam potem w jego „Pamiętnikach", wydanych w roku 1953, do których wstęp napisała właśnie Maria Dąbrowska. Gościła u nas ponad tydzień. Nie byłam wtajemniczona we wszystkie szczegóły, zresztą pracowałam jako lekarz i przebywałam całe dni poza domem. Wiem tylko, że pani Maria nawiązała kontakt z jakimiś ludźmi, którzy mieli jej ułatwić przedostanie się przez granice do Warszawy. Ta wyprawa zakończyła się bardzo smutno, pani Maria wróciła ograbiona ze wszystkiego, z pieniędzy, ubrania, nawet pończochy jej zabrali. Oczywiście można ją było ubrać, pieniądze jakoś zorganizować, ale nie wiedzieliśmy zupełnie jak ją pocieszyć, podtrzymać na duchu, bo była kompletnie załamana. Nie mogła się z tym pogodzić, że to spotkało ją, właśnie ją, która tak bardzo wierzyła w ludzi.

— Pani Maria wróciła potem do Lwowa, pisywałyśmy do siebie, wreszcie dostałam od niej list — ze stolicy.

* * *

Nie pierwsza to „warszawska odyseja" Marii Dąbrowskiej. Podobną odbyła w czasie pierwszej wojny światowej, opuszczając wraz z rodziną zburzony i spalony Kalisz. Wyjeżdżając — jak pisze we wspomnieniu zatytułowanym „Rzemiennym dyszlem" — „wobec wyraźnego i bynajmniej nie odwołanego rozkazu, aby pod karą śmierci z miasta nie wyjeżdżać".

Nastroje stolicy w okresie ostatniej wojny oddaje wspomnienie z roku 1946, zatytułowane (rzecz znamienna) „Humor okupowanej Warszawy".

— Pani Maria często mówiła, że jako pisarka powinna być w Warszawie — dopowiada doktor Szaykowska. — Powinna razem ze wszystkimi odczuć i przeżyć to wszystko, co dzieje się w stolicy w czasie okupacji.

* * *

Polskie miary czasu, zamknięte między wojnami... Zostawmy więc chwilowo czas, zajmijmy się przestrzenią. Przenieśmy się z Białegostoku do Hajnówki, miasta żyjącego w cieniu ościennej Białowieży. W Hajnówce mieszka pani Pelagia Rakowiecka, pedagog z wykształcenia, działacz społeczny i oświatowy z potrzeby. Te jej zamiłowania rzucają światło na istotę znajomości z Marią Dąbrowską.

— Poznałam panią Marię w Warszawie, w roku 1914. Stało się to za pośrednictwem Ireny Kosmowskiej, publicystki i działaczki na gruncie ruchu ludowego w „Zaraniu", pisma jak na owe czasy bardzo radykalnego. Potem spotykałyśmy się często na różnych zebraniach.

Dalszy ciąg na str. 7

JERZY WITCZAK

KŁOPOTY Z MIŁOŚCIĄ

CZYTAJ NA STRONIE 6

STOP BRONI „N"

OPINIE I POGLADY

W **„International Herald Tribune"** ukazał się następujący rysunek: przed telewizorem siedzi para kościotrupów, u ich stóp kościotrup dziecka, które bawiło się z psem, który zamienił się też w kościotrupa, a wszystko to oplecione nitkami pajęczyn; widać podwyższone promieniowanie nie działa na pająki. Rzeczy pozostały natomiast sprawne. Można usunąć kości ludzi i zwierząt i włączyć ponownie telewizor.

Ten rysunek pokazuje bardzo wyraziście groźbę, jaką zawierają w sobie głowice dla rakiet i pocisków armatnich, nazywane przez ludzi umownie „bombą N", czyli bombą neutronową. Przeciw tej bombie, przeciw produkcji broni neutronowej protestuje cały świat, a w tym również społeczeństwo PRL.

Protestują ludzie pracy, ludzie nauki, młodzież, artyści, pisarze. W **ŁODZI** odbyło się posiedzenie senatów wyższych uczelni oraz Prezydium Łódzkiego Oddziału Polskiej Akademii Nauk. Przedstawiciele łódzkiego środowiska nauki dołączyli swój głos do protestów światowej opinii publicznej, która wyraża zaniepokojenie zamiarem uzbrojenia wojsk USA i NATO w broń neutronową. Póki jeszcze czas militaryści mogą się opanować, mogą zawrócić z drogi prowadzącej do zagłady naszej cywilizacji.

Naukowcy podkreślali, że istnienie państw socjalistycznych stanowi dowód, że pokój może być trwale wpisany w naszą cywilizację. Przeszło 30 lat, jakie minęły od ostatniej wojny dowodzi, że współistnienie pokojowe dwóch różnych systemów jest możliwe. I dlatego w rezolucji przyjętej przez łódzkie środowisko naukowe znalazły się następujące słowa:

„Protestujemy przeciwko wszelkim działaniom, które zakłócają tendencje odprężenia międzynarodowego i zwiększają niebezpieczeństwo wojny".

Przeciw niebezpieczeństwu wojny protestowali też pracownicy naukowi Politechniki Rzeszowskiej im. I. Łukasiewicza oraz Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy, jak też pracownicy nauki innych polskich uczelni.

Profesor dr **Kazimierz Michałowski** powiedział między innymi:

„Moje pokolenie, doświadczone wojną, obozami, dewastacją nauki, musi przeciwstawiać się wszystkiemu, co powodowało ginięcie na naszych oczach nauki i kultury i temu co może zagrażać rozwojowi w przyszłości".

Swoje głosy protestu do ogólnopolskiej opinii publicznej, zaniepokojonej wzrastającym napięciem w stosunkach międzynarodowych, wynikającym z dokonującego się wyścigu zbrojeń, dołączyli między innymi: prof. dr **Marian Weiss**, prof. dr **Stefania Skwarczyńska**, prof. dr **Stanisław Pasynkiewicz**, prof. dr **Szczepan Pieniążek**.

Nie zabrakło też protestów ludzi sztuki i kultury. Oto fragment wypowiedzi **Józefa Szajny**:

„Nie tak dawno przeżyliśmy epokę pieców krematoryjnych, zniszczenia spowodowane bombą atomową, a obecnie usiłuje się zagrozić ludzkości bombą neutronową. Jak długo jeszcze ludzie ludziom będą śmierć szykować?!"

W piątek, 7 kwietnia 1978 roku, na terenie byłego obozu hitlerowskiego w **Radogoszczu** zebrało się przeszło dwa i pół tysiąca uczniów, studentów, nauczycieli i wykładowców łódzkich szkół średnich i wyższych, aby zaprotestować przeciw narastającemu niebezpieczeństwu wybuchu wojny nuklearnej. Na tym wiecu studentka III roku pedagogiki Uniwersytetu Łódzkiego — **Grażyna Jaksa** powiedziała między innymi:

„Nauka powinna służyć człowiekowi, tylko i wyłącznie dobru człowieka, a nie być skierowana przeciw niemu".

A uczeń XXVI Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi — **Dariusz Fiet** powiedział:

„Moje pokolenie wojnę zna tylko z literatury i opowiadań ludzi dorosłych. Moje pokolenie boi się wojny, bo wojna niesie grozę, strach i śmierć".

Słuchając tych słów każdy dorosły człowiek powinien poczuć się do odpowiedzialności za przyszłość młodzieży na całym świecie, powinien zrozumieć, że jego zadaniem jest uczynić wszystko, aby wojna nie zagrażała światu. I z tego poczucia odpowiedzialności bierze się nasz protest przeciw próbom nasilania konfliktów na świecie, przeciw próbom szykowania ludzkości nowych, „skuteczniejszych" broni, które mogłyby naszą planetę zamienić w wymarły glob.

Protesty przeciw nowej broni neutronowej popłynęły też z zakładów pracy całej Polski. Protestowali hutnicy, górnicy, kolejarze, włókniarze. Wiece protestacyjne odbyły się między innymi w ZPB im. Z. Modzelewskiego „Ceba" w Częstochowie, Hucie „Bailidon", Kopalni Węgla Brunatnego „Konin", Stoczni Remontowej „Gryf" w Szczecinie, Poznańskich Zakładach Maszyn Żniwnych oraz w wielu zakładach produkcyjnych Łodzi.

W rezolucji przyjętej przez **kolejarzy lokomotywowni PKP — Olechów w Łodzi** czytamy między innymi:

„Pamiętamy, jakie straty poniósł naród polski w czasie II wojny światowej. Dlatego też czujemy się upoważnieni i zobowiązani do mówienia o najważniejszym prawie każdego człowieka — prawie do życia w pokoju. Protestujemy przeciwko wyścigowi zbrojeń, a w szczególności zbrojeń atomowych".

Polska opinia publiczna dołącza się swoim protestem do światowego **„NIE"** wyścigowi zbrojeń.

WSPÓŁCZEŚNI BOHATEROWIE Z HOLLYWOOD

Kino amerykańskie na przestrzeni dziejów sztuki filmowej istnieje w świadomości publiczności całego świata jako wzór warsztatowego mistrzostwa. Były też lata, kiedy pejoratywnym synonimem tego kina było słowo Hollywood. Hollywood — „fabryka snów", wielki biznes — kształtowało gusty światowej widowni wedle najkorzystniejszego dla siebie modelu, najkorzystniejszego, co przynoszącego wielkie pieniądze. Znaczyło to jednak zawsze i to, że gusty te potrafiono bezbłędnie rozpoznawać i w efekcie zaspokajać, koło się zamykało. W tym samym Hollywood powstawały także arcydzieła sztuki kina, tam rozpoczynali i kontynuowali swe kariery jej klasycy z różnych pokoleń twórczych. To w Hollywood udawała się zawsze rzecz niezwykła — umiejętność łączenia wielkiej sztuki z wielkim publicznym i finansowym sukcesem, a więc realizacja zadań spod znaku artyzmu z zadaniami spod znaku biznesu. Kształtowane i doskonalone przez kolejne pokolenia filmowców umiejętności warsztatowe prowadziły do perfekcji znajdującej swój wyraz także w filmach, których nikt nie zamierza lokować w panteonie sztuki, ale bez których nie ma publicznego życia kina. W produkcji filmowej spod znaku Hollywood, które przecież też przeżywało i przeżywa najróżniejsze wstrząsy i przeobrażenia, zawiera się to, co najcenniejsze w kinie, to co jest jego mitologią i to co bywa jego słabością. Co byśmy tu jeszcze za i przeciw Hollywood nie powiedzieli, bez niego nie ma historii kina i to nie tylko kina amerykańskiego. Bez niego nie ma też obrazu Ameryki — tego zmitologizowanego i tego realistycznego.

Biorąc pod uwagę ostatnie dziesięciolecie nietrudno dostrzec, że lata siedemdziesiąte są dla filmu amerykańskiego wyjątkowo szczęśliwe i trudno powiedzieć, że dzieje się to jedynie za sprawą zmiany warty, bowiem weterani Hollywood jeszcze nie milczą. Sukcesy odnoszą jednak także twórcy średniego i zupełnie młodego pokolenia filmowych realizatorów. Ostatnie dziesięć lat w filmie amerykańskim nie przynosi przy tym obrazu jednorodnego w sensie tematów, stylu czy atmosfery. Kino to wydaje się niezwykle żywo reagować na określone problemy i nastroje społeczne, ma chyba jednak współudział w ich tworzeniu i podtrzymywaniu.

Nawet polski widz, oglądający te filmy z tak wielkiej odległości i przy tak dużej selekcji, a może właśnie dzięki temu, potrafi bez większego trudu wyodrębnić główne wątki i cechy tego ostatniego okresu. Przypomnijmy tu najważniejsze. Czarna seria policyjna i gangsterska („Bullitt", „Francuski łącznik", „Policjanci") nie ogranicza się do sensacyjności fabuły, służy analizie i demaskacji świata zbrodni, przemocy i gwałtu, który określa wiele aktualnych układów społecznego i politycznego życia Ameryki. Klasyczny western przejmuje znacznie wykraczającą poza wpisaną w jego dotychczasową konwencję funkcję, sięga do rodowodów współczesnego społeczeństwa, dokonuje analizy jego historii tam szukając pytań i odpowiedzi, które określać mogą stan obecny. („Błękitny żołnierz", „Mały, wielki człowiek", „Był tu Willy Boy"). Od filmów ukazujących dramaty jednostkowe widziane jednak w kontekście szerszych zjawisk życia społecznego („Narkomani"), idzie kino amerykańskie tropem charakterystycznych nastrojów społeczeństwa dobrobytu, w którym łagodna początkowo kontestacja przeradza się w bunt wyrażający sprzeciw wobec coraz silniej ujawnianych wynaturzeń. Motyw ucieczki, poszukiwań bez możności realizacji samego siebie, motyw wiecznej wędrówki, życia bez celu, rezygnacji pojawia się w wielu filmach spośród których przypomnijmy choćby „Pięć łatwych utworów", „Znikający punkt", „Stracha na wróble". Ich bohaterowie, osiągając pewną samoświadomość nie umieją, nie mogą lub tylko nie chcą z niej korzystać. Śmierć bądź ostateczna rezygnacja puentują te opowieści. Wysiłki tych, którzy ową osiągniętą autoświadomość pragną spożytkować w aktywnym społecznie życiu („Chłodnym okiem", „Serpico") okazują się daremne. Ton najgłębszego pesymizmu społecznego i moralnego towarzyszy prawie wszystkim wspomnianym tu filmom.

W kontekst ten należy wpisać jeden z najnowszych filmów tego nurtu, obecnie u nas oglądanego **„Taksówkarza" Martina Scorsese.** W filmie tym, jak w soczewce skupiły się wszystkie wyżej wspomniane tematy, wątki i nastroje amerykańskiego kina ostatnich lat, ich katastrofizm zyskał tu swe apogeum. Bohater filmu — zdemobilizowany, psychicznie okaleczony żołnierz z Wietnamu — szukający na powrót swego miejsca wśród ludzi, odnajduje jedynie świat, który jest zaprzeczeniem ideałów gloryfikowanych przez swoista mitologię amerykańskiego społeczeństwa. Jeżdżąc w swej taksówce po ulicach Nowego Jorku, czuje się Travis coraz bardziej samotny, wyizolowany ze społeczności. Wszystkie próby wejścia w nią na powrót, choćby poprzez miłość, kończą się klęską. Bunt i marzenie o tym, by znów zaistnieć — być i móc — prowadzą go do takiej próby samorealizacji, która przyjmuje postać szaleństwa i zbrodni, bo inaczej przecież czynu Don Kichota z nowojorskiej taksówki traktować nie sposób. Tym czynem Travis realizuje jeden z najsilniejszych mitów amerykańskiej kultury — mit samotnego bohatera występującego przeciwko złu. Ten mit stworzony przez westernową legendę, znalazł swe współczesne trawestacje w postaciach policjantów, ale także i w tych filmach, w których bohaterami byli owi buntownicy, którzy poza świadomość zła i świadomość niemożności przeciwstawienia się mu, nie wykroczyli. Gorzki i ironiczny film Martina Scorsese zdawał się historię mitu doprowadzić do miejsca ostatecznego.

I oto nieoczekiwanie kino amerykańskie proponuje powrót do wiary w możność jednostki. Widzowie Konfrontacji 77 oglądali dwa filmy będące przykładem odwrotu od skrajnego pesymizmu wspominanych tu filmów — „Wszystkich ludzi prezydenta" i „Rocky'ego". W jednym i w drugim pragnie się przekazać wiarę w szanse i możność wpływu jednostki na życie zbiorowe oraz szanse odnalezienia siebie w owej zbiorowości. Film amerykański, ów wrażliwy sejsmograf społecznych nastrojów, odczuł widać, że nie można ludzi zostawać w sytuacji, dla której historia nowojorskiego taksówkarza byłaby typowa. I jeszcze jedno — dzisiejsze Hollywood, tak jak zawsze, uczy jak robić filmy. I dość nieoczekiwanie, na tle swej tradycji, ujawnia, czym dziś jest tzw. realizm w sztuce kina.

EWA NURCZYŃSKA

PO NOCY – ZMIERZCH

Parę tygodni temu utyskiwałem z tego miejsca na teatr poniedziałkowy Telewizji Polskiej, na obniżanie jego wysokich ongi lotów. Choć koronny mój zarzut — brak realizacji w oparciu o oryginalne scenariusze pisane z myślą o telewizji — pozostaje nadal aktualny, to przecież ostatnie dwa poniedziałki musiały podziałać na miłośników teatru TV krzepiąco. Jeszcze w tym zasłużonym gatunku telewizyjnym trafiają się perły. Po „Nocy listopadowej" — „Zmierzch długiego dnia"...

Widowisko Wajdy fascynowało swoją twórczą koncepcją inscenizacyjną do tego stopnia, że na plan dalszy odsuwało sztukę aktorską, mimo że była ona tam w kilku co najmniej rolach pierwszorzędnej próby (Jan Nowicki, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Barbara Bosak). Wystawienie sztuki Eugene O'Neilla w reżyserii Andrzeja Łapickiego, wyrastające także wysoko ponad przeciętność, opierało się w założeniu swym niemal wyłącznie na aktorstwie.

Łapicki nie skusił się opracowując tekst na stworzenie scenariusza uruchamiającego skomplikowane mechanizmy przekazu. Technika telewizyjna była w spektaklu ledwie dostrzegalna, ograniczająca się do klarownego zarejestrowania i przeniesienia na odległość dzieła ukształtowanego przez aktorów. Z jednym wyjątkiem, który jednak ocenić mogli w pełni tylko telewidzowie oglądający „Zmierzch długiego dnia" w kolorze.

Akcja sztuki rozpoczyna się przed obiadem, a kończy późnym wieczorem, czy nawet w nocy. Od powrotu Mary Tyrone do domu z miasteczka, gdzie zaopatrzyła się w zapas morfiny, zapada stopniowo zmierzch, który jest w sensie dosłownym i metaforycznym wyznacznikiem nastroju widowiska. Drogą odpowiedniego nasycania i filtrowania świateł realizatorzy akcentują postępujący zmierzch i nadchodzącą noc. Stopniowo wygasają żywe barwy dekoracji, ustępując miejsca brązom i szarościom. W miarę gęstnienia mroku, gęstnieje atmosfera domu Tyrone'ów, pogłębia się uczucie beznadziejności ich egzystencji. Tak więc kolor spełniał w spektaklu funkcję dramaturgiczną, pogłębiając wymowę dialogu.

Poza tym ingerencje inscenizacyjne reżysera są niezmiernie dyskretne. Nie nadużywa zbliżeń, nie ucieka się do wizualnych sygnałów upływu czasu między scenami. Nic zatem nie wysuwa się przed aktorów, nie przesłania ich kluczowej roli. Główny ciężar odpowiedzialności za efekt całości podzielili między siebie Maja Komorowska i Andrzej Łapicki interpretujący role Tyrone'ów, obie kreacje znakomite, a jednocześnie budzące zastrzeżenia.

Warsztat aktorski, jakim dysponuje Komorowska, sprawdził się już wielokrotnie. Jest on przy tym bardzo specyficzny, nie do zastosowania w rolach z zakresu tzw. małego realizmu. Komorowska na scenie, na dużym czy na małym ekranie, wyróżnia się spośród innych aktorów swoim odmiennym, jej tylko właściwym stylem gry, czy bycia. W filmie „Jak daleko, jak blisko" grała na przykład osobę zmarłą, która jako emanacja wyobraźni bohatera jawi się wśród tłumu realnych, żywych ludzi. Nie uciekając się do żadnych chwytów charakteryzacyjnych, ani sygnalizując swą przynależność do metafizycznego wymiaru, potrafiła aktorka wyodrębnić się z tłumu, zaznaczyć swoją inność.

To był przykład krańcowy. W innych przypadkach Komorowska gra osoby nie przystosowane do otoczenia, przegrane, zbuntowane, samotne. Tak jest i z rolą Mary Tyrone, z ta różnicą, że odmienność tej postaci od reszty rodziny wywołana jest nałogiem. Przez cały czas akcji towarzyszy Mary w podtekście głód morfiny, ujawniający się na zewnątrz w krótkim błysku, gdy po wyjściu służącej aktorka miota się jak ptak z poprzetrącanymi skrzydłami. Ta niema, trwająca zaledwie kilkanaście sekund scena, jest najbardziej wstrząsająca w całym przedstawieniu.

Zastanawia mnie natomiast fakt, czy narkomania stwarza aktorce dostateczny pretekst do budowania postaci Mary właściwymi swemu aktorstwu środkami. Zachowania aktorki zbliżone są w swym tragizmie do obłędu czy półobłędu, w stosunku do którego łaknienie narkotyku jest czymś raczej mechanicznym. Odniosłem wrażenie, że Komorowska rozsadza niejako wielką indywidualnością ramy postaci nakreślone przez autora, jest w stosunku do niej jakby na wyrost.

Kontrastem w stosunku do niej był w widowisku Łapicki, występujący efektownie i z rozmachem w roli człowieka przegranego życiowo na wszystkich odcinkach. James Tyrone obnosi się ze swoimi niezrealizowanymi aspiracjami aktorskimi (podobno sam słynny aktor szekspirowski Edwin Booth — brat zabójcy Lincolna — rokował mu wielką przyszłość). Jest kabotynem, chałturzystą, spekulantem działkami budowlanymi, pożeranym skąpstwem, a jednocześnie głęboko nieszczęśliwym ojcem rodziny, szukającym ucieczki w alkoholu. Wydaje mi się, że Łapicki poszedł w tworzeniu tego konglomeratu zanadto w kierunku zewnętrzności.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Listy do Redakcji

Szanowna Redakcjo, ze względu na ostatnie artykuły „Odgłosów" poświęcone sprawom bibliotek, przesyłam nieco informacji o organizacji bibliotekarzy.

Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich 21 grudnia 1977 r. w 60-lecie swojego istnienia, zostało odznaczone Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W jego dziejach i zasługach dość poważną rolę odegrał okręg łódzki Stowarzyszenia. Związek Bibliotekarzy Polskich, bo tak się w pierwszym okresie nazywało Stowarzyszenie, powstał w 1917 roku.

W marcu roku następnego mianowano członkiem Korespondentem Jana Augustyniaka, głównego bibliotekarza Biblioteki Publicznej w Łodzi, i z jego inicjatywy zorganizowało się w styczniu 1919 r. Koło łódzkie ZBP. Było to pierwsze w kraju Koło terenowe i zgromadziło głównie bibliotekarzy społecznych.

Stawiając sobie za cel udoskonalenie łódzkich i okolicznych bibliotek, podniesienie poziomu wykształcenia fachowego bibliotekarzy i pracę nad rozwojem czytelnictwa, Koło podjęło akcje: rejestracyjno-propagandowe, poradniczą i odczytowo-szkoleniową. M.in. zebrano materiały o stanie bibliotek Łodzi w 1919 r., przedyskutowano plan sieci miejskich bibliotek publicznych i koncepcję bibliotek gminnych na terenie powiatu. Warto podkreślić, iż w okresie międzywojennym pięć kursów bibliotekarskich prowadzonych przez łódzkie Koło, było jedyną formą doskonalenia bibliotekarzy czynnych. Także i po wojnie mimo powstania na Uniwersytecie Łódzkim pierwszej w Polsce Katedry Bibliotekoznawstwa, absolwenci czterech kursów Stowarzyszenia do 1956 r. zasilali kadrę pracowników wszystkich bibliotek Łodzi i niektórych pozałódzkich.

Stałą siedzibę od początku aż do chwili obecnej znalazło SBP w lokalu Biblioteki Publicznej, która, znana pod imieniem Ludwika Waryńskiego, obchodziła jubileusz 60-lecia. Jej kierownik prof. Augustyniak stał na czele Stowarzyszenia aż do roku 1968.

Po latach okupacji przy organizowaniu wielu bibliotek naukowych w Łodzi znaleźli się wśród członków łódzkiego okręgu tak wybitni bibliotekoznawcy i bibliotekarze jak profesorowie: Helena Radlińska, Jan Muszkowski, Adam Łysakowski, Helena Więckowska — znani nie tylko na forum ogólnopolskim, ale i międzynarodowym. SBP w Łodzi ma w dorobku w okresie Polski Ludowej ok. 300 prelekcji konferencji i sesji, inicjatywy w zakresie koordynacji służby informacyjnej i współpracy bibliotek w skali miasta, bibliografii regionalnej, dokumentacji stanu bibliotek, reaktywizacji ruchu bibliofilskiego. Są to więc działania istotne dla rozwijania wiedzy bibliotekarskiej i bibliograficznej i doskonalenia pracy bibliotek łódzkich.

IZABELA NAGÓRSKA
Przewodnicząca SBP w Łodzi

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

JAN POWAŁA

BUDŻET PENTAGONU

Budżet wojskowy państwa jest odbiciem tendencji nie tylko w strategii wojskowej, ale także w polityce militarnej. W nim bowiem zawarte są środki określające charakter sił zbrojnych i postawione przed nimi zadania. W dobie współczesnej wielkość i struktura budżetów wojskowych są tym bardziej wymowne, że wyrażają zaufanie lub jego brak do trwałości procesów odprężeniowych.

Wymowna jest wielkość przedstawionego przez administrację prezydenta Cartera budżetu wojskowego i poprzedzająca ten akt kampania propagandowa, w której wzięli udział wszyscy znani przeciwnicy odprężenia, zwolennicy wyścigu zbrojeń i prowadzenia polityki z pozycji siły. Prowadzona na ogromną skalę kampania zbrojeniowa nie pozostawia żadnych złudzeń, że będzie to kolejny rekordowy budżet wojskowy USA. Był on Lowien. forsowany przy akompaniamencie haseł o rosnącej przewadze militarnej Wschodu. Brown, amerykański minister obrony, agitując za budżetem wojskowym wielkości 126 mld dolarów twierdził, że właśnie taka, a nie mniejsza wielkość zapewnia Stanom Zjednoczonym utrzymanie kroku Związkowi Radzieckiemu. Prawie jednocześnie został opracowany 5-letni plan rozwoju sił zbrojnych USA (na lata 1980—1984), którego podstawa jest założenie według Browna — utrzymania zdolności do przeciwstawienia się wojnie błyskawicznej w Europie. W obu przypadkach, wbrew oczywistym faktom, Związek Radziecki i pozostałe państwa Układu Warszawskiego przedstawiane są jako strona przygotowująca się do agresji. Przemilczane są takie istotne fakty, jak stałe zmniejszanie wydatków na cele wojskowe przez Zwiazek Radziecki, czy wybitnie obronną strukturę sił zbrojnych państw Układu Warszawskiego. Pomija się również rokowania rozbrojeniowe prowadzone na różnych płaszczyznach, a stwarza się atmosferę sprzyjającą zapaleniu zielonego światła dla kolejnych, nowych i wielce niebezpiecznych systemów broni.

W sposób nieobiektywny i tendencyjny przedstawiane są wysiłki państw socjalistycznych zmierzające do uzupełnienia odprężenia politycznego odprężeniem militarnym, czemu dobre podstawy stworzyła Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Przyczyn rekordowego w całej historii Stanów Zjednoczonych projektu budżetu wojskowego oraz propagandy prowadzonej głównie przez Pentagon i cały kompleks wojskowo-przemysłowy na rzecz jego uchwalenia należy szukać w coraz ściślejszych powiązaniach między krajowymi kołami militarystycznymi, największymi bankami oraz takimi gałęziami przemysłu, jak kosmiczny, atomowy, radioelektroniczny, stoczniowy i chemiczny, które są mocno zainteresowane w otrzymywaniu korzystnych kontraktów od Pentagonu.

W kampanii propagandowej na rzecz wyścigu zbrojeń administracja prezydenta Cartera manipuluje różnymi liczbami w taki sposób, aby złagodzić niekorzystne wrażenie wywołane astronomicznie wielkimi wydatkami na cele wojskowe. Twierdzi się np., że budżet wojskowy Stanów Zjednoczonych jest „oszczędny" i oznacza jakoby niewielki, gdyż tylko dwuprocentowy wzrost w porównaniu z rokiem bieżącym. Faktycznie jest on prawie o 20 mld dolarów wyższy i przy uwzględnieniu inflacji oznacza wzrost o 6,5 proc. Pentagon przy tym nie ukrywa, że w latach następnych jego wymagania będą jeszcze większe. Przewiduje się, że budżet wojskowy USA osiągnie w 1983 r. sumę 172,2 mld dolarów. Warto przypomnieć, że w roku 1945 budżet wojskowy Stanów Zjednoczonych zamykał się kwotą 12 mld dolarów. Na uwagę zasługuje fakt, iż w kołach politycznych Stanów Zjednoczonych podkreśla się, że prezydent Carter, po przedstawieniu projektu budżetu na rok 1979, może oczekiwać wzrostu zaufania kół wielkiego biznesu do administracji.

Jak wykazuje dotychczasowa praktyka faktyczne wydatki na zbrojenia są znacznie większe od sumy podanej w oficjalnym budżecie wojskowym Stanów Zjednoczonych. Nie ujawnia się bynajmniej całej kwoty wydatków na zbrojenia. Wiadomo, że koszty prac nad bombą neutronową nie zostały pokryte z budżetu Pentagonu, lecz z preliminarza Urzędu Badań i Opracowań Energetycznych. Podobnie wygląda sprawa budżetu NASA, w którego ramach przeznaczono 1,4 mld dolarów na budowę promu kosmicznego „Space Shuttle". W związku z tym prasa amerykańska podkreśla, że faktyczna wysokość wydatków na cele wojskowe znacznie przewyższa oficjalny budżet Pentagonu.

Współczesne wojny są o wiele bardziej niszczycielskie i pochłaniają wielokrotnie więcej kosztów od wojen prowadzonych w starożytności lub nawet w XIX wieku. Jeden z amerykańskich admirałów rezerwy dokonał wprost makabrycznych obliczeń i podał, że 2 tysiące lat temu każdy zabity żołnierz nieprzyjacielskiej armii kosztował Juliusza Cezara 75 centów, natomiast Napoleona Bonaparte jeden zabity żołnierz przeciwnika kosztował już 3 tys. dolarów. W I wojnie światowej Stany Zjednoczone wydały na zabicie jednego żołnierza nieprzyjacielskiej armii 21 tys. dolarów, a w II wojnie światowej około 200 tys. dolarów. Według obliczeń wojna w Wietnamie będzie rzutować na budżet państwowy USA jeszcze co najmniej przez najbliższe pięćdziesiąt lat.

Kierownictwo Pentagonu twierdzi, że proponowana aktualnie wielkość budżetu wojskowego ma zapewnić Stanom Zjednoczonym zdolność do prowadzenia jednej dużej i jednej małej wojny. Podkreśla się przy tym, że chodzi głównie o gotowość do prowadzenia dużej wojny w Europie. W związku z tym poważnie wzrosły wydatki na amerykańskie wojska stacjonujące w Europie i przeznaczone do działań na tym kontynencie. W 1977 r. liczba amerykańskich żołnierzy w Europie wzrosła o 18.500. Przewiduje się dalszy ich wzrost o 8 tysięcy. Plany te są wyraźnie sprzeczne z duchem rozmów wiedeńskich, które przewidują redukcję wojsk, w tym także amerykańskich.

W całokształcie zbrojeń amerykańskich położono nacisk na produkcję ofensywnych rodzajów broni, co wyraźnie kłóci się z oficjalną tezą o konieczności umocnienia obrony NATO. Forsowany jest rozwój lotnictwa, a przede wszystkim śmigłowców. Przewiduje się wprowadzenie do uzbrojenia sił powietrznych nowych typów samolotów uderzeniowych A-10, F-15, F-16 i rozpoczęcie produkcji nowego czołgu XM-1.

Zgodnie z postulatami naczelnego dowódcy sił zbrojnych NATO, gen. Aleksandra Haiga, zakłada się zwiększenie zapasów w magazynach i składach rozmieszczanych w Europie. Przerzucony zostanie dodatkowy sprzęt pozwalający wyposażyć dalsze trzy dywizje. W sumie więc Stany Zjednoczone będą posiadać w magazynach Europy sprzęt i uzbrojenie dla dodatkowego korpusu armijnego.

Przewiduje się także dalszą modernizację artylerii i rakiet będących na wyposażeniu sił lądowych.

Położono więc główny nacisk na wzmocnienie możliwości uderzeniowych, ofensywnych amerykańskich wojsk przeznaczonych do działań bojowych w Europie.

Znaczny akcent w amerykańskich zbrojeniach położono na marynarkę wojenną. Dowództwo Sił Morskich USA podjęło decyzję o budowie dużej serii 74 okrętów nawodnych. Chodzi o fregaty typu „Oliwer H. Perry". Budowa pierwszych 8 jednostek została już zakontraktowana. Pentagon ustalił, iż siły morskie Stanów Zjednoczonych otrzymają w pierwszym rzucie 1200 skrzydlatych pocisków rakietowych typu „Tomahawk". Pociski te są bardzo drogie. Specjaliści obliczyli, że koszt jednego pocisku z takiej serii wyniesie około 750 tys. dolarów.

Amerykańscy komentatorzy projektu budżetu wojskowego podkreślają, że chodzi w tym przypadku o doskonalenie konwencjonalnych komponentów sił zbrojnych, odsuwając w cień nakłady przeznaczone na umocnienie potencjału nuklearnego. Tymczasem na produkcję głowic dla skrzydlatych pocisków Cruise przeznacza się 1,4 mld dolarów. Co prawda przemilcza się kwestię broni neutronowej, ale niektóre założenia nie pozostawiają wątpliwości, że Pentagon nie zamierza tej dziedziny zaniedbać. W opracowanym 5-letnim planie rozwoju sił zbrojnych podaje się, że siły lądowe otrzymają udoskonalone głowice nuklearne dla haubic 155 mm, 203,2 mm i dla wyrzutni pocisków „Lance".

Czynnikiem stymulującym wyścig zbrojeń jest handel bronią. Stany Zjednoczone są największym eksporterem broni w świecie. Dostarczają one broń do ponad 70 krajów, czerpiąc z tego duże zyski. Tylko w roku 1977 Amerykanie sprzedali broń za przeszło 13 mld dolarów. W ostatnich latach głównym nabywcą amerykańskiej broni stał się Bliski Wschód, przy czym największe ilości tej broni zakupiła Arabia Saudyjska.

Budżet wojskowy Stanów Zjednoczonych na rok finansowy 1979 zapewnia swoją wielkością kontynuowanie wyścigu zbrojeń w bardzo niebezpiecznej sferze jakościowej. Przewidziano w nim 14 mld dolarów na prace naukowo-badawcze, co oznacza, że Stany Zjednoczone nie zamierzają zrezygnować z dążenia do osiągnięcia przewagi technologicznej nad Związkiem Radzieckim. Wszystko to wywołuje uzasadnione niepokoje. Pojawiają się lub wkrótce się pojawią nowe rodzaje broni, które swoimi właściwościami wprowadzą nowe, dodatkowe problemy do rokowań rozbrojeniowych.

Forsowanie przez Stany Zjednoczone wyścigu zbrojeń i przeznaczanie systematycznie coraz większych kwot na cele wojskowe ma miejsce wtedy, gdy zarówno w Helsinkach jak w Belgradzie wypowiedziano się za kontynuowaniem odprężenia politycznego w stosunkach międzynarodowych, gdy na świecie znajduje się 800 mln analfabetów, a pół miliarda ludzi stale głoduje.

Specjaliści obliczyli, że za każde 5/6 oficjalnej sumy, jaką Stany Zjednoczone przeznaczają obecnie na zbrojenia, można byłoby zbudować:

✱ 300 elektrociepłowni o mocy 120 tys. KW każda;

★ 300 rafinerii o mocy przerobowej 3 mln 250 tys. ton ropy naftowej rocznie każda;

★ 1000 fabryk nawozów sztucznych;

★ 200 fabryk kauczuku syntetycznego o mocy 25 tys. ton każda;

★ 160 cukrowni, mogących wyprodukować rocznie taką ilość cukru, jaką wyprodukowano na całym świecie w 1958 r. Niepohamowany wzrost wydatków na cele wojskowe charakterystyczny jest dla wszystkich państw Paktu Północnoatlantyckiego.

Na skutek wyścigu zbrojeń prowadzonych przez imperialistyczne koła USA i NATO, kraje socjalistyczne zmuszone są przeznaczać odpowiednie środki na umocnienie swej obronności, zabezpieczenie pokojowej pracy własnych narodów i utrzymanie gotowości bojowej swych sił zbrojnych, mając przede wszystkim na względzie zabezpieczenie pokoju i bezpieczeństwa.

W walce o utrzymanie pokoju państwa socjalistyczne są zdecydowane w dalszym ciągu prowadzić działalność, zmierzającą do zahamowania wyścigu zbrojeń, do uzupełnienia odprężenia politycznego odprężeniem militarnym.

JAN BĄBIŃSKI

JAK SIĘ KOMU ŻYJE

Kraje bogate i kraje biedne. Bogactwo narodów. Różne stosuje się wskaźniki dla zobrazowania miejsca, które zajmują poszczególne państwa na gospodarczej drabinie świata. Najlepszy ze wszystkich, najbardziej syntetyczny i bezstronny zdaje się być wskaźnik ilustrujący wielkość dochodu narodowego. Z pewną oczywiście poprawką. Nie idzie o wielkość absolutną, tylko o wielkość dochodu narodowego, więc globalną produkcję dóbr i usług w przeliczeniu na głowę ludności. To jest właśnie to. Tym właśnie wskaźnikiem posłużył się w marcu br. amerykański tygodnik „Time". Opublikował mapę świata. I opublikował wielkość dochodu narodowego przypadającego na głowę obywatela we wszystkich krajach wszystkich kontynentów.

Bardzo to interesująca mapa.

Mówi więcej niż sążniste niekiedy publikacje co bardziej uczonych głów ekonomicznych. Oto krótka lista tych krajów zachodniego świata, które osiągnęły w ku ubiegłym najwyższy dochód narodowy w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Wskaźnik podany jest w dolarach

Szwajcaria	— 8.880
Szwecja	— 8.670
USA	— 7.890
Kanada	— 7.510
Dania	— 7.450
Norwegia	— 7.420
RFN	— 7.380
Wielka Brytania	— 4.020
Włochy	— 3.050

Co do krajów naftowych to problem jest dość powikłany. Bogactwo maleńkiego Kuwejtu i innych drobnych szejkanatów nad Zatoką Perską wcale jeszcze nie oznacza, że gdzie ropa, tam dochód narodowy najwyższy. Oto lista tych poważniejszych krajów naftowych z wyszczególnieniem dochodu narodowego w przeliczeniu na mieszkańca. Wskaźnik, oczywiście, opiewa w dolarach.

Libia	— 6.310
Arabia Saudyjska	— 4.480
Persja	— 1.930
Iran	— 1.390

Więc wbrew temu co się potocznie sądzi o legendarnych dochodach Persów ze źródeł naftowych, ich bogactwo ani się może mierzyć z krajami najbardziej uprzemysłowionego Zachodu. Długa i trudna też niezmiernie droga czeka szacha Iranu nim zdoła się choćby z daleka przybliżyć do krajów o długich tradycjach przemysłowych. Przepaści, która tworzyła się przez pokolenia, nie da się zasypać w ciągu lat kilkudziesięciu. Wydaje się nawet, jakby dystans dzielący Iran od północnej Europy i północnej Ameryki raczej się zaczął ponownie powiększać.

Tragiczna jest sytuacja krajów rozwijających się, w ogóle tak zwanego Trzeciego Świata. Oto ogromne obszarem i ludnością państwa o dramatycznie niskim dochodzie narodowym:

Indie	— 150
Indonezja	— 240
Chiny	— 410

A oto jak przedstawia się dochód narodowy na głowę obywatela w krajach RWPG. Dane cytuję za amerykańskim tygodnikiem „Time", który z kolei oparł je na wyliczeniach światowych banków i oficjalne dane ONZ.

NRD	— 4.220
Czechosłowacja	— 3.840
Polska	— 2.860
ZSRR	— 2.760
Bułgaria	— 2.310
Węgry	— 2.280
Rumunia	— 1.450

Uderza, że NRD, wyprzedziła już w wielkości dochodu narodowego Anglię i zostawiła daleko w tyle Włochy. Ciekawe, że i my zbliżyliśmy się w tej dziedzinie do Włoch na odległość dosłownie kroku. Prześcignięcie Italii jest już tylko kwestią krótkiego czasu. Niewiele w gruncie rzeczy dzieli nas od Anglii. Dystans jest do odrobienia, jeśli nic się w świecie nie zmieni, w ciągu najbliższej pięciolatki, więc gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych. A przecież jeszcze 10 lat temu dochód narodowy Wielkiej Brytanii był w przeliczeniu na głowę ludności dwukrotnie wyższy niż w Polsce.

Czas pracuje więc dla nas.

Warto jednak i o tym pamiętać, że dystans dzielący nas od tych najbogatszych krajów świata jest wciąż duży. I chociaż ulega nieustannemu zmniejszeniu, to jednak wątpliwe jest niezmiernie by udało się nam dojść do światowej czołówki jeszcze w tym stuleciu. Najważniejsze, że pogoń trwa. I że tempo mimo wszystkich przeżywanych trudności jest stosunkowo niezłe.

RZECZ O KONSERWATYSTACH

Na książce tej widnieje napis: Polska Akademia Nauk — Instytut Badań Literackich. Można by więc sądzić, że chodzi w niej o jakieś zagadnienia, mające związek z literaturą. Tymczasem nie: jest to praca z zakresu najbardziej typowej historii politycznej. Jej tytuł rozwiewa wszelkie wątpliwości: „Działalność polityczna polskich stronnictw konserwatywnych w latach 1926—1935", autorem jest historyk Wiesław Władyka, rzecz jest skróconą wersją rozprawy doktorskiej, obronionej na Wydziale Historycznym stołecznego Uniwersytetu, a ukazała się we wrocławskim Ossolineum (1977). Jakim cudem tego rodzaju tytuł włączono do planów wydawniczych literackiego Instytu, jak przeszedł on przez wszystkie kolejne sita uzgodnień, zatwierdzeń i dotacji, tego sobie wytłumaczyć nie potrafię. Jak tak dalej pójdzie, to placówki zajmujące się np. leśnictwem będą nam publikowały dzieła z astronomii, zaś książki historyczne będą się ukazywały pod auspicjami Instytu Badań Jądrowych. Żart jedna na stronę — najważniejsze, że otrzymaliśmy książkę, zaś w gruncie rzeczy jest obojętne, który z licznych u nas Instytutów ją wydał. Zwłaszcza, że rzecz ta z pewnością zasługiwała na ogłoszenie drukiem, dotyczy bowiem ważnych spraw wewnętrzno-politycznych dziejów naszego kraju w okresie międzywojennego dwudziestolecia.

Obóz konserwatywny nie miał jakoś dotąd szczęścia do historyków. Badania nad nim podjął swego czasu Henryk Jabłoński, potem prowadzili je również inni historycy, wśród nich W. Władyka. Nową swą książką dał on się poznać czytelnikom jako badacz solidny, nie poprzestający na łatwych do odnalezienia źródłach, potrafiący dokopać się nadzwyczaj interesujących materiałów w zbiorach rękopiśmiennych naszych bibliotek i archiwów, solidnie dokumentujący swą logiczną, nasyconą historycznym konkretem narrację.

Dlaczego konserwatyści, dlaczego w latach 1926—1935? Okres międzywojenny nie był z pewnością czasem największych sukcesów konserwatystów w nowoczesnych dziejach naszego kraju. Ich znaczenia w II Rzeczypospolitej nie sposób porównywać do roli, jaką odegrali Stańczycy w autonomicznej Galicji w drugiej połowie XIX wieku. Wsza że struktura społeczno-ekonomiczna międzywojennego państwa warunkowała, że ruch konserwatywny miał w nim swą stosunkowo liczną bazę w postaci broniącego swego tradycyjnego statusu ziemiaństwa. Ono też — jak dowodzi tego W. Władyka — stanowiło społeczną podstawę ruchu konserwatywnego. Co się zaś tyczy badanego okresu czasu, historyk ma tu oczywiście prawo swobodnego wyboru. Jest ono jednak ograniczone tym, że wymaga się odeń, aby zajmował się okresem szczególnie istotnym z punktu widzenia badanego przezeń problemu. Tak właśnie uczynił W. Władyka, zwracając swą uwagę na lata 1926—1935. Przyjęcie takich ram chronologicznych wydaje się być w pełni uzasadnione, zarówno ze względu na znane nam fakty z dziejów wewnętrzno-politycznych ówczesnej Polski, jak i z punktu widzenia historii konserwatyzmu. Dopiero bowiem po przewrocie majowym, jak tego dowodzi autor, wstąpił on na scenę polityczną, wcześniej zaś nie potrafił się zjednoczyć i nie posiadał dość siły, aby zaznaczyć się w poważniejszej mierze w politycznym życiu państwa. Rok 1935 z kolei zamknął okres, „w którym konserwatyści zdobyli się na swój ostatni wzlot polityczny"; później znajdowali się już tylko na marginesie życia politycznego Polski.

Nie myślę streszczać tej książki, w której roi się od nieznanych faktów, dat i nazwisk, często o bardzo arystokratycznym brzmieniu. W. Władyce nie sposób zarzucić braku badawczej sumienności: zebrał materiał ogromny i arcyciekawy, przedstawił go tak, aby niczego zeń nie uronić, o wszystkim co trzeba powiedzieć, niczego nie opuścić. Jest jednakże w tej arcysumiennej książce coś, co nas drażni. Chodzi mi o sposób ujęcia omawianych w niej zagadnień. Autor dał nam szczegółową relację o wydarzeniach w kolejności ich chronologicznego następstwa: dzień po dniu, tydzień po tygodniu i tak dalej. Niektórym może się wydawać, że taki właśnie powinien być wzór historycznego, obiektywnego opisu. Ale zadaniem historyka jest nie tylko opisać, lecz i wyjaśnić. Tymczasem przyjęta przez autora konwencja spełnienie tego zadania utrudniała, nie zaś ułatwiała. W chronologicznej narracji następstwo w czasie zdaje się sugerować uwarunkowanie przyczynowe; że często jest to tylko złudzenie, wykazywać tego nie potrzeba. Fascynacja ciągiem zdarzeń utrudnia wyróżnienie w nich spraw ważnych, od pobocznych, stawia bowiem niejako wszystkie na jednej płaszczyźnie. Chronologiczny rodzaj narracji zmusza wreszcie autora do pominięcia tego wszystkiego, co się weń wtłoczyć nie da. Z pewnością dlatego też sumienny historyk, jakim jest W. Władyka, zrezygnował aż ze zbyt wielu spraw, o których miał z pewnością wiele do powiedzenia. Z niejakim żalem czytam więc w tej książce: „nie jest zamiarem autora oddawać się dokładnym studiom nad mentalnością, świadomością i pozycją społeczną warstwy ziemiańskiej w Polsce międzywojennej". To autograniczenie zaważyło na całości ujęcia; bo jak wyjaśniać meandry politycznej działalności danych środowisk, jeżeli rezygnujemy z próby spenetrowania ich świadomości? Szkoda, że W. Władyka nie wybrał nieco innego modelu dla swej wartościowej rozprawy. Ale i tak spełnia ona pożyteczną rolę, skoro przynosi sporą dawkę rzetelnej wiedzy o rzeczach i sprawach, które miały kiedyś swoje określone znaczenie, a o których dzisiaj już niemal nikt nie pamięta.

ANDRZEJ F. GRABSKI

JERZY JARMOŁOWSKI

RONDA Z JELENIAMI

INTRODUKCJA

już stać mnie na to by jelenie pisać
z zachodem słońca i sarną flirtować
bom przez krużganki form się poprzemykał
że stać mnie na to
trzeba do muchy mawiać „bywaj zdrowa"
trzeba się wróblem zasrańcem zachwycać
by w fugach Bacha móc się rozsmakować
już stać mnie na to

RONDO CAPRICCIOSO DLA KONSTRUKTYWNEJ MRÓWECZKI MOJEJ

mróweczko moja gdy ci się zachciewa
byś jako człowiek bywała coś warta
to nie żyć ucz się a ucz się umierać
mróweczko moja
bo gdy cię życie odeśle do czarta
tam LACRIMOSA... nikt ci nie zaśpiewa
nie przejdzie wielbląd przez ucho Mozarta
mróweczko moja

RONDO DLA PERCEWALA W EKSPRESIE KOLUSZKI–PŁYĆWIA

gdzie ci tak spieszno chwile przecie miną
toć je przedłużaj a smakuj powoli
wszak pierwej bukiet potem smak ma wino
gdzie ci tak spieszno
pić z czary złotej do dna nie do woli
to w winie słońce zapach ziemi minąć
to się z czerwiami nie zdążyć oswoić
gdzie ci tak spieszno

RONDO MODERATO NA SKRZYPIĄCE ZASTAWKI

coś we mnie skrzypi coś truizmy baję
wszako śmierć nasza ów truizm najpierwszy
coś się zacina w tym życiu-zabawie
coś we mnie skrzypi
coś mi się widzi że to moje serce
coś mi się słyszy jakoś nieciekawie
oj kopnę zaraz w półłanki te wiersze
coś we mnie skrzypi

RONDO Z TRUPEM NA TLE WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

na moim trupie piękne czerwie chodzą
z gotyku żeber po barok wątroby
w secesję myśli obrzydliwce błądzą
na moim trupie
lecz słońce wstaje jak z pięknej choroby
dziewczyny czerwiom znów dzieweczki rodzą
a te dzieweczki zaliż piękne — oby
na moim trupie

RONDO NA BŁYSKAWICE CZCZOŚĆ I PIESZCZOTY

nad marnościami coś jakby błyska
tu suchą stopą nie popróbuj bieżać
żeś stadne zwierzę wracaj do ogniska
nad marnościami
bo my tu właśnie będziemy wieczerzać
u opatrzności ogromnego cycka
i ssać go będziem i pieścić i leżeć
nad marnościami

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

OPOWIEŚĆ O CZŁOWIEKU, KTÓRY ZGUBIŁ NAZWISKO

W kamieniczce na przedmieściu mieszkał Bronisławicz. Wchodziło się do jego pokoju przez kuchnię, w której rezydowała gospodyni, Rozalia. Straszny był to potwór.

Bronisławicz, dostawszy się tutaj, nie wyprowadził się tylko dlatego, że bał się jej o tym powiedzieć. Znalazł się więc w sytuacji bez wyjścia. Przypominał jakąś więzioną dziewicę z powieści Waltera Scotta, strzeżoną przez kościstą jędzę.

Rozalia miała jeszcze drugą ofiarę. Była nią jej siostrzenica. Klarusia, która powracając z biura do domu (dom to kuchenka u miłej cioci Rozalii), musiała wysłuchać wszystkich zjadliwości, jakich Rozalia nie zdołała wypowiedzieć w ciągu dnia. Zresztą dla siostrzenicy miła Rozalia miała zasób pretensji niewyczerpany, a Bronisławiczowi serce krajało się za drzwiami.

Dziwną miał zdolność Bronisławicz do wyszukiwania zakazanych mieszkań. Mówił, że zakazany owoc najbardziej nęci. Samo już dojście do jego mieszkania przedstawiało dużą trudność. Gdy się zebrał tego Manfred musiał przyjmować znajome panie w pobliskim lasku.

„Okazuje się, że cnota gościnności jest problematyczna" — myślał Manfred i miał się czym martwić, jeżeli się zważy niepewny stan pogody w naszym klimacie.

Bronisławicza nagle coś poirytowało.

— Słyszałem, mój Manfredku, że pochodzisz z lordowskiej rodziny.

Manfred skinął głową pobłażliwie. Bronisławicz rzucił się, jakby go ktoś żgnął szydłem w bok. Rzekł wyzywająco:

— Może ci się nie podoba moje nazwisko?

Manfred spojrzał z przerażeniem. Po chwili, nieco zamroczony, zapytał się w niewinnej szczerości:

— A jak ty się nazywasz?

— Co? Zapomniałeś? — Było to powiedziane z sarkazmem.

Manfred uśmiechnął się niepewnie.

— Nie, broń Boże, wcale nie zapomniałem.

— No, więc jak?

— Jak?

— Słucham cię. Może mi wreszcie powiesz?

— To jest głupie pytanie. Czy nie wiesz, jak się nazywasz?

To mówiąc Manfred, wzruszywszy ramionami, nalał wódkę.

— Rozumie się, że wiem — stwierdził Bronisławicz i trącił się kieliszkiem.

— Więc jak? — spytał chytrze Manfred.

— Michał...

— A widzisz! Michaś!

Bronisławicz rzucił się jak oparzony.

— Mądryś! To na imię. Ale nazwisko jak?

— Nazwisko? — spytał Manfred z dziecięcym zdziwieniem.

— A tak. No, proszę? — i Bronisławicz podparł się ręką impertynencko.

Manfred tarł czoło z całej siły.

— Dlaczego nie odpowiadasz? Proszę cię, mów, czekam — krajał go Bronisławicz żywcem.

Manfred zmarszczył brwi, jak mógł najsilniej, nie przerywając przy tym pocierania czoła.

— Może ci się nie podoba, przyznaj się.

— Skądże! Przeciwnie... — mamrotał Manfred plątającym się językiem.

— Słucham zatem... — Bronisławicz, ten baranek, wydawał się teraz niczym kat z rewolucji francuskiej.

Manfred machnął ręką. Pocieranie nic nie pomogło. Sięgnął po butelkę.

— Czyżbyś zapomniał — znęcał się Bronisławicz.

— Może się napijemy? — zaproponował Manfred, mrugnąwszy żartobliwie.

— Ha! Chcesz się wykręcić sianem.

— Dlaczego sianem? — spytał Manfred z rozbrajającą szczerością.

Łzy naciekły do oczu Bronisławicza. — Zapomniałeś nazwisko przyjaciela! — jęczał z wyrzutem. Manfred złapał się za głowę.

— Nie! Michasiu... Nie mów tak, bo mnie zabijesz.

— To są dzisiejsze bezlitosne czasy! — płakał Bronisławicz. Manfred powtarzał w myśli z rozpaczą: „Jak ja mogłem zapomnieć! jak ja mogłem zapomnieć!" i ani przez myśl mu nie przeszło, że wcale jego nazwiska nie znał. Zaznajomili się w takiej wesołej chwili, w której operuje się tylko imionami. Mimo to zawzięcie chciał wydostać z niepamięci niesłyszane nazwisko.

Tymczasem Bronisławicz uczepił się współczesności i pomknął w stratosferę teorii. Manfred odetchnął. Poweselał. Zaledwie jednak sięgnął po butelkę, Bronisławicz spadł na teren rzeczywistości i spytał bez cienia fantazji:

— Może mi powiesz wreszcie, jak ja się nazywam?

Manfred przymknął powieki. „Masz, znowu sobie przypomniał!" I rzucił z niebezpieczną lekkomyślnością:

— Pietrusiński.

Bronisławicz zmarszczył brwi.

— Nie nazywam się Pietrusiński — oznajmił ponurym głosem.

Manfred zrobił niepocieszoną minę. Pomyślał, że to nie jest dobra metoda. W ten sposób mógłby na chybił trafił wymieniać nazwiska przez rok, zanim by wpadł na właściwe. Czyżby raczej nie wziąć książki telefonicznej i nie odczytywać po kolei od A do Z? Lecz skądże wziąć tutaj książkę telefoniczną? A co najważniejsze. Michaś nie miał telefonu. Rzekł więc polubownie:

— Spirytus.

Towarzysz jego zgniewał się. — Jak możesz myśleć, że ja się nazywam spirytus!

— Ja też nie mówię, że ty się nazywasz spirytus, tylko że spirytus wszystkiemu winien.

A właśnie Bronisławicz dziwnie się zmienił. Zamilkł i znać było, że się głęboko nad czyms zamyślił. Był przygnębiony.

Zaczął trzeć dłonią czoło...

— Czyżby... — Manfred nachylił się ze współczuciem. Bronisławicz mruknął niechętnie:

— Diabli wiedzą...

Bronisławicz sam zapomniał, jak się nazywa.

— To niemiła historia — zauważył Manfred z przekonaniem.

Bronisławisz spojrzał na niego błagalnie, a w głosie jego brzmiała żałosna nuta:

— Czy ty, Manfredku, naprawdę zapomniałeś?

— Naprawdę.

— Nic dziwnego — skarżył się Michał. — Jeden mój kolega opisał mnie i tak mi zmienił nazwisko, że człowiek potem zapomina, jak się nazywał w życiu.

Nagle Manfred zawołał olśniony:

— Nic łatwiejszego! Wyjdę za drzwi i przeczytam na twoim bilecie.

Bronisławicz, przez chwilę pełen nadziei, skrzywił się jak po niesmacznym dowcipie.

— Nie mam biletu i nigdy go nie miałem.

Manfred rozłożył ręce bezradnie. Zabrzęczało szkło. Manfred znowu był niewyczerpany w pomysłach.

— Nic łatwiejszego! Zapytam się twojej gospodyni, gdy wróci.

Bronisławicz zgromił go surowym wzrokiem.

— A czy ty znasz moją gospodynię?

— Nie znam — odpowiedział pośpiesznie Manfred i już nie powracał do tego projektu.

Atmosfera stawała się ciężka i wyczerpująca. Siedzieli tak w przygniatającej ciszy, aż znowu Manfred żachnął się i wykrzykiwał zuchowato:

— Mam tysiące sposobów! Pójdę do biura adresowego, mogę...

Urwał. Towarzysz jego milczał groźnie. Manfred ponowił cichutko:

— Nic łatwiejszego...

Michaś zmienił swój miękki głos w sztylet, który utopił w Manfredzie.

— Manfredku, jeśli jeszcze raz powtórzysz, że nic łatwiejszego...

Manfred przyznał mu w duchu rację, lecz wpadł znowu na zbawczą myśl.

— Napiszę do ciebie list i kiedy jutro listonosz ci go przyniesie, odczytasz swoje nazwisko na kopercie. Jutro już będziesz wiedział na pewno. Możesz chyba jedną noc wytrzymać.

Michał zaświszczał:

— A jak zaadresujesz, słowiczku?!

Manfred umilkł zrezygnowany. „Miałem najlepsze chęci" — pomyślał.

Bronisławicz kreślił jakieś litery po stole i czuł, że już na amen zapomniał, jak się nazywa. Manfred pomyślał: „To straszne!" i doznał tak wielkiego napływu współczucia i wspaniałomyślności, że chętnie pożyczyłby mu na kilka dni własnego nazwania, mimo że brzmiało nieco z cudzoziemska, byle tylko nieszczęsny przyjaciel miał czas odnaleźć swoje nazwisko.

Nagle Bronisławicz zadrżał.

— Wszystko jedno — powiedział. — Kiedy indziej sobie przypomnę. A może ty chcesz już iść?

— Co się stało?

W odpowiedzi Michał zaszeptał:

— Rozalia przyszła.

— Gospodyni?

Człowiek bez nazwiska skinął głową potwierdzająco. Manfred sam sobie położył palec na ustach i powietrze wciągał nosem.

Słychać było prędkie chodzenie po kuchni i pomruki. Rozalia była w bardzo złym humorze. Manfred obejrzał się wokoło, czy nie lepiej by było się ukryć, jednak w pokoju nie było kryjówek. Powstał i podszedł na palcach do okna, lecz tu okazało się, że mieszkanie jest na drugim piętrze.

Bronisławicz wodził za nim wzrokiem niespokojnie.

— Czy wyjście jest tylko przez kuchnię? — spytał Manfred.

— Tylko.

— Bardzo niekorzystny rozkład mieszkania.

Po chwili poinformował się zaniepokojony.

— A jeżeli Rozalia rzuci na mnie garnkiem?

— Może nie rzuci.

Manfred jeszcze się namyślał, czy skierować się do wyjścia.

— A jeżeli będzie na mnie wrzeszczała? Obrzuci mnie stekiem obelg? Nie lubię trywialności.

Michaś pomyślał niechętnie: „Manfred stanowczo za lekko pojmuje życie".

W tej chwili za drzwiami rozległy się okrzyki.

— Skaranie boskie z tym lokatorem! Człowiek nawet do własnego domu nie może wrócić. Ciągle hałasy, ani chwilki spokoju.

Manfred przybladł. Przyjaciel zgniewał się szeptem:

— Dlaczego tak głośno stąpasz?

— Ja?.... głośno? — powtórzył Manfred z wyrzutem, spoglądając na swoje sandały.

Za drzwiami rozlegał się złowrogi monolog

— A może do tego jaką babę sobie sprowadził? Żadnego szacunku dla mnie nie ma. Pan za dużo sobie pozwala, panie Bronisławicz!

— Bronisławicz! — jęknęli obaj radośnie i rzucili się sobie w objęcia.

Z kuchni dolatywało coraz zjadliwiej.

— O! mlaskają! Tylko tego brakowało. Widzicie ich! Ale ja już mam dosyć tego bezeceństwa!

Ucichło. Obaj rozpromienieni towarzysze nadsłuchiwali. Bronisławicz poradził:

— Najlepiej idź już! Wiem nareszcie, jak się nazywam.

Manfred westchnął. „Ale czy ja natomiast nie stracę swojej osobowości?" Bronisławicz pchał go w paszczękę lwa. Ale nie było innego wyjścia. Gość poprawił swoje egzotyczne purpury i wziął za klamkę. Pomyślał jeszcze: „Jakie szczęście jednak, że nie jestem kobietą".

Rozalia uchwyciła właśnie rondel, aby wyrżnąć nim o drzwi lokatora. W tym momencie drzwi się otworzyły i Rozalia ujrzała, jak z pokoju Bronisławicza wychodzi poważna postać w purpurowej, powłóczystej szacie ze złotym obramowaniem, postać jakby jakiegoś apostoła, o długich, kasztanowatych włosach, bujnie opadających na ramiona.

Krótką chwilę, jeszcze z rondlem w ręku, patrzyła na to zjawisko, aż wreszcie rondel wypadł jej z dłoni i z hałasem potoczył się po podłodze pod nagie stopy Manfreda. A za rondelkiem Rozalia z dziwnym skowytem runęła na ziemię i padła przed nim na twarz.

Manfred postąpił kilka kroków, odezwał się godnie:

— Powstań, niewiasto.

Usłyszawszy to Rozalia — usłyszawszy ten głos do niej zwrócony — wybuchnęła głośnym płaczem. Objęła jego sandały i, przyciskając twarz do jego bosych nóg, zanosiła się od płaczu, nieprzytomna z wrażenia i ze szczęścia. Całą swoją złość, całe swoje podłe, koślawe życie wylewała we łzach, płynących niepowstrzymanie w tej chwili niezwykłej, jaką przeżywała.

Manfred czuł, że już ma mokre nogi.

Przez otwarte drzwi widać było Bronisławicza siedzącego przy stole, na którym stała flaszka.

Rozalia, leżąc na podłodze u stóp Manfreda, łkając bez ustanku, całowała jego stopy. Łzy tej starej wiedźmy były tak czyste, jak olejki świętej grzesznicy.

Manfred był wzruszony.

— Uspokój się, moje dziecko i bądź dobrej myśli!... Błogosławię cię!... — wyrzekł łagodnie, z powagą, zasłaniając przy tym dłonią usta, aby nie było czuć alkoholu. Postanowił nigdy już nie pić wódki.

Powoli przeszedł przez kuchnię i zniknął za drzwiami.

Kiedy Klarusia wróciła do domu, zastała swoją ciocię przy niezwykłym zajęciu. Rozalia na łopatce od węgli trzymała kilka rozżarzonych węglików i wysypując na nie kadzidło z pudełeczka, kupionego w Święto Trzech Króli, kadziła przed drzwiami wiodącymi do pokoju lokatora.

— „Oho! — pomyślała Klarusia. — Biedna ciocia dostała bzika".

Rozalia, zwróciwszy do niej twarz o błogim wyrazie, powiedziała tajemniczo, wskazując w stronę drzwi:

— On jest święty.

Panienka, coś sobie przypomniawszy, uśmiechnęła się:

— Nie taki on znowu święty...

— Ale! — O! Święty, święty. Czy wiesz, kto u niego był?

— Kto? — Klarusia klasnęła w dłonie z radości, odczuwając, że skończyły się jej udręki w domu. Nie mogła poznać ciotki, która nigdy jeszcze nie miała takiego wyrazu twarzy i nigdy do siostrzenicy nie odzywała się tak pieszczotliwym głosem.

— Czy wiesz, kto u niego był? Apostoł.

Kołysząc łopatką od węgli, okadzała białymi kłębami dymu zamknięte drzwi. Bronisławicz, krztusząc się w pokoju, myślał: „W piekle mogłem wytrzymać, ale w niebie nie potrafię".

Epilogiem tej historii była niewiarygodna zmiana w usposobieniu Rozalii. Stała się łagodna i dobra. Nieraz opowiadała, jakiego doznała spotkania dzięki Bronisławiczowi (który skorzystał z tego i wyprowadził się). Gdy nie wierzono jej, uśmiechała się pobłażliwie, a potem przestała opowiadać, bo rzeczywiście, po co o takich sprawach opowiadać innym. Cuda widzi się we własnej duszy.

WIESŁAW PUSZ

WIESZCZ ZA GUZIK TRZYMANY CZYLI JAK POZOSTAĆ POETĄ

(o wierszach sztambuchowych Słowackiego, Mickiewicza i Norwida)

Natchnienia liryczne nie przychodzą, tylko z nadzwyczajnymi zdarzeniami.
KAJETAN KOŹMIAN

„Jest to książeczka formatu podłużnego (10 x 17 cm), oprawna w zielony safian; oprawa zdobna u brzegu złoconym drobnym ornamentem stylizowanych niezapominajek. W środku okładki wierzchniej osadzona ozdoba metalowa złocona, motyw półksiężycowej jakby nawy okrętowej, zakończonej na obu dziobach orlimi głowami. Sztambuch zamykał się ongiś na klamerkę złoconą, dziś oberwaną.

Wewnątrz 61 kart welinowych, z lekka żółtawych, ze znakiem wodnym FELLOWS, poprzekładanych z rzadka kartkami kolorowymi. Na karcie welinowej naczelnej wykaligrafowane wśród ozdobnych wykrętasów nazwisko właścicielki: Marie Wereszczaka".

1. Podglądanie człowieka w zagrożeniu jest jedną z największych pasji bliźniego. To moment prawdy — reakcja, poczynania mówią wiele, jeżeli nie wszystko o obserwowanym. Sprawdzianem poetyckiego refleksu i poetyckiej mocności był dla romantyków wiersz sztambuchowy, a ściślej mówiąc cała ta sytuacja, która miała zaowocować wpisem do pamiętnika. Sytuacja to swoista — zyskać można było niewiele, stracić dużo. Pamiętnik nie był bowiem miejscem narodzin poety, miał natomiast stanowić potwierdzenie jego klasy. Stąd tragiczne położenie wieszcza: goniony po salonach, w których bywał, bo bywać musiał będąc wieszczem, przytrzymywany za guzik i zmuszany przez egzaltowane panienki do poetyckich popisów — miał obowiązek być tu i teraz, natychmiast — poetą. Poeta się bywa? — w opinii właścicielek, a dodajmy gwoli sprawiedliwości, czasem i właścicieli — poetą być się musi. Stale.

2. Nie radzę zaglądać do sztambuchów, tych, które „się zachowały". Wystarczy obejrzeć je z zewnątrz (polecam kolekcję w Bibliotece Łopacińskich w Lublinie). Dziś nie ma już takich rąk, zdolnych poświęcić tyle czasu, z takim skutkiem, na wyczarowanie ze skóry, płatków złota, welinu, pół i całkiem szlachetnych kamieni takich cudeniek. Ale w środku — przeciętność przetykana czasem arcysprawnością. Toteż miast czytać, znów lepiej — jeżeli już — oglądać pyszne akwarelki i rysunki piórkiem wykonane lekką dłonią prababek jak widać na pensjach edukowanych. T a m t y c h natomiast sztambuchów nie ma, choć przeważnie są — pochowane przez przypadkowych właścicieli, którym ani po mieczu, ani nawet po kądzieli do adresatów przylepić się nie sposób. Zostały więc same wiersze, przepisane, sfotografowane — drukowane w „Dziełach" z arcykomentarzem. I zostało pytanie — jak radzili sobie w tej najtrudniejszej, moim zdaniem, z poetyckich prób najwięksi z wielkich — Mickiewicz, Słowacki, Norwid.

3. Słowacki pisywał wiersze sztambuchowe długie, Mickiewicz krótkie; spostrzeżenie proste, więc rewelacyjne (skomplikowane bywa tylko wydumanie). Słowacki napisał tych wierszy trochę, Mickiewicz sporo. Czy między tymi faktami istnieje związek przyczynowo-skutkowy? Nie wiem, ale wykluczyć tego nie można.

Mickiewicz zyskał sławę lub przynajmniej rozgłos szybko i wcześnie. Po skończeniu studiów peregrynował między Kownem a Wilnem, po wysiedleniu krążył po wielkich obszarach Rosji; bywał w wielu i różnych towarzystwach — stanowił szczególnie atrakcyjną zdobycz sztambuchowych panienek. Słowacki mając tyle lat, co Mickiewicz w swym najbujniejszym okresie twórczości pamiętnikowej (1824—1826), był jednym z kilku, jeżeli nie z wielu. Jak wiemy, czytelnicy listów do matki, Słowacki w Paryżu robił dużo, by zwrócić na siebie uwagę. Nie tylko piórem — to z rana. Od popołudnia spacerował, odwiedzał, bywał. Ubierał się starannie; sam ironicznie się określał „un Dandy, angielski petit maitre".

„...Dziś właśnie udała mi się moja rola w ogrodzie Tuilleries: pierwszy raz ubiorem zwróciłem oczy dam — bo miałem białe szarawarki, kamizelkę białą kaszmirową, w ogromne różnokolorowe kwiaty, tak jak dawne suknie damskie, i kołnierz od koszuli odłożony — do tego dodajcie laseczkę z pozłacaną główką i glansowane rękawiczki (...). I zapytasz Mama, dlaczego to robię? Oto dlatego, iż raz zostawszy poetą, chcę ujść powszechnej nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały... i nie chcę, aby mię jak Mickiewicza do domu gry nie wpuszczono..."

Lecz od Mickiewicza różnił go nie tylko strój. Także i przede wszystkim poziom wiedzy. Gdy z końcem 1832 roku opuszcza Paryż, towarzyszy mu zapewne świadomość braków. Sztambuch w skórze dla badacza, który przypomni trud samokształceniowy Słowackiego w Genewie. Dwudziestosześcioletni Mickiewicz był nie tylko głośnym poetą, lecz także erudytą i człowiekiem bardzo już doświadczonym. Słowacki w tym wieku — to śmieszny w opinii emigracyjnej (kraj nie znał go prawie wcale) konkurent Mickiewicza, jako autor „Kordiana". Nie było chętnych do łapania go za guzik, zresztą trudno było to uczynić, o wiele trudniej niż porozpinanego ciągle Mickiewicza.

4. Wiersz **„W sztambuchu Marii Wodzińskiej"** powstał w atmosferze bliskiego rozstania po półtorarocznej znajomości i wspólnej w gronie rodaków wycieczce po Alpach. Zarówno Słowacki, jak i adresatka wpisu bagatelizowali swą więź serdeczną. Poeta czynił to na bieżąco, w listach do matki darząc Marię stałymi epitetami: brzydka, nieładna, zarzekając się wręcz, iż nie była ona wbrew plotkom powodem samotnej „ucieczki" w góry latem 1835. Ale zarazem ileż irytacji w słowach o zamierzonym przez „dwie baby z naszej krainy" wyswataniu Marii. Ileż złośliwości pod adresem Chopina w liście z Florencji pisanym po upływie trzech lat, a będącym reakcją na wieść o zamążpójściu Marii (skończyło się faktycznie na zerwanych zaręczynach).

Maria po latach sześćdziesięciu przeczyła stanowczo w liście do Biegeleisena, by mogła ją łączyć ze Słowackim szczególna sympatia, by mogła — mając lat piętnaście — wywierać na niego wpływ. A jednocześnie jakże dokładnie pamiętała, po półwieczu, okoliczności powstania wiersza:

„Czas naszego powrotu do kraju zbliżał się, więc rozstanie sie z tymi dobrymi i przyjaznymi osobami na zawsze. Jednego wieczora, mając mały album z luźnymi kartkami, rozdawałam je z prośbą, aby mi co napisano; jedną taką kartkę podałam Słowackiemu, on się zamyślił, potem przeszedł do drugiego pokoju, gdzie stało biurko mojej matki. Widzieliśmy, gwarząc dalej w salonie, jak chodził przez kilka chwil, potem usiadł i pisał."

Wiersz w **„Sztambuchu Marii Wodzińskiej"** powstał w okolicznościach typowych: w salonie, od razu, bez brulionów i wariantów. Poeta nie miał czasu do namysłu. Gdy „panna Wodzińska z a a t a k o w a ł a mnie (...) — zaraz przy stole usiadłem, umoczyłem pióro i te p ł a c z l i w e wiersze napisałem". Wszystko niby jak zwykle w tego typu sytuacjach włącznie z reakcją poety. Ale po zacytowanym zdaniu czytamy: „Muszę Ci tu, Mamo, te wiersze napisać, abyś miała wyobrażenie, jak ja dziwnie czasem m a r z ę..."

To nie tylko właściwe Słowackiemu sąsiedztwo autodystansu i introspekcji, ironicznego, z przymrużeniem oka opisu zdarzeń komunikowanych matce przeplatanego szczerymi wyznaniami. „Zaatakowany" poeta gotów był marzyć — wiersz już istniał, czekał tylko na słowa.

5. Kiedy wiersz jest dobry? Gdy jego doskonałość służy określonym celom. **„W sztambuchu Marii Wodzińskiej"** to popis poetyckiej wirtuozerii. Trzy strofy — każda stanowiąca odrębną i powiązaną z resztą całość. W pierwszej nie dostrzega się ludzi, ich jedyne działanie, to sam fakt przebywania: „byli tam". Jest natomiast krajobraz alpejski naprzemiennie rozświetlony i pogrążony w cieniu. Większość określeń to wskaźniki miejsca. Zdania „siedzą" w wersach — harmonia ta podpowiada wygładzający wspomnienia upływ czasu. Przesunięcie konsekwentne orzeczeń ku końcom zdań potęguje wrażenie oddalenia. Jedyny zgrzyt w owym sielskim pejzażu, to czająca się w tej chwili radośnej zapowiedź dramatu — czarne wrony kraczą na zwalonych sosnach.

Druga i trzecia strofa — to ruch, pośpiech, zgiełk, bo tematem staje się powrót do ojczyzny, więc powitania, zabawa. Eksponuje się ludzi, ich poczynania i reakcje — nie tylko zresztą opisem, ale także przez powtórzenia tych samych zwrotów, przez chaotyczny celowo tok wypowiedzi: zdania kończą się, przerwane, z początkiem kolejnego wersu. Z tym, iż w strofie drugiej mamy do czynienia ze zbiorowością, w trzeciej bohaterką staje się odpoczywająca przez moment Maria. W finale wiersza dochodzi do wyciszenia, wracamy do nastroju początkowego, spinającego utwór klamrą: wśród powracających brak jednego i to już na zawsze. Cisza gór ma wiele wspólnego z ciszą cmentarza. W Alpach przerywana była krakaniem wron, zapowiedzią nieszczęścia, na cmentarzu zakłóca ją śpiew słowików, tak smutny, „że brzoza płacze".

6. Kiedy poeta bywa czymś więcej niż artystą, wirtuozem słowa? Kiedy respektując prawa konwencji potrafi wyjść poza nią, jednocześnie jej nie niwecząc. Wiersz sztambuchowy to przypadek maksymalnej konwencjonalizacji. Trzymany za guzik poeta ma do dyspozycji adresata (dobrze, gdy go zna i gdy warto go znać), pamiętnik, trochę czasu i stałą opozycję do ubrania w słowa: pamięć a rozstanie. W tym ostatnim przypadku możliwe są odstępstwa, „normalne" wiersze też wpisywano w imionniki. Ale w „prawdziwym" wpisie obowiązują określone rygory tematyczno-kompozycyjne. Bohaterem jest zawsze para „ja — ty", maksymalnej ekspozycji podlega to, co mieści się między „mną" a „tobą", niezależnie czy miało to już miejsce, czy ma aktualnie.

U Słowackiego jest wszystko, ale i n a c z e j. O rozstaniu nie mówi się ani słowa, że miało miejsce, domyślamy się z przebiegu o p i s y w a n y c h wypadków. Zamiast podmiotu lirycznego i wyznania w pierwszej osobie mamy narratora, a „ja i ty" ulega zamianie na „oni" („byli tam"). Wskutek tego znika natręctwo wynurzeń i nudna oczywistość. Zmianie ulega także czas. „Gramatycznie" jest to jeden z dwu „właściwych" — przeszły. W gruncie rzeczy mamy do czynienia z „poetyckim" czasem przyszłym. Prawdą był tylko pobyt w Alpach, reszta to wymysł. Wiersz Słowackiego to marzenie, by użyć jego słów, to poetycka wizja, przewidywanie tego, co stanie się kiedyś, gdy adresatka odejdzie.

Ty odjedziesz — a ja umrę. Banalne? Sentymentalne? — To rozstanie było rozstaniem na zawsze. Aż po śmierć.

7. Słowacki otwierał podsunięty pamiętnik skwapliwie, chciał i miał o czym pisać. Pierwszy znany nam wiersz sztambuchowy poświęcił Ludwikowi Szpitznaglowi, drugi (nieznany), po francusku, Korze Pinard — jednej z paryskich fascynacji, piętnastoletniej córce drukarza, w którego firmie (jedyny wtedy w Paryżu komplet polskich czcionek) drukował poezje. Trzeci wpis — szesnastoletniej Marii Wodzińskiej. Dwa utwory dedykował Zofii i Ludwice Bobrównom (notabene starsza liczyła wówczas 18 lat). I to prawie cała jego twórczość sztambuchowa. Wszystko to wiersze znane, cenione, zawsze uważane za przynależne do najlepszej części dorobku. Wpisy Mickiewicza nie weszły do kanonu jego lirycznych arcydzieł. Czy miał o czym pisać?

Wśród bardzo licznych adresatów wierszy sztambuchowych Mickiewicza przeważają osoby, z którymi związany był luźno, jeżeli nawet serdecznie, to bez egzaltacji. Większość tych nazwisk, pozbawiona komentarza, byłaby dziś dla nas sumą liter. Nie unieśmiertelniła ich ani własna biografia, ani wiersze wieszcza. Nie pamiętamy nazwisk, nie pamiętamy utworów. Cytujemy zwroty:

„Chciałbym choć jedną chwilkę poigrać w tej fali,
Nim zapomniany legnę w niepamięci piasku".
„Wspomnisz jednak o drożce, choć z tego powodu,
Że przedziela kwatery pięknego ogrodu".
„Wszyscy z przepaści mglistej w przepaść lecim mroczną".

Oczywiście — wszak to piękniejsze z mickiewiczowskich metafor.

8. W wierszach sztambuchowych Mickiewicza nic z wirtuozerii Słowackiego. Żadnego spiętrzenia literackich środków poetyckiej ekspresji — tylko metafora. Ale porównanie także jako opozycyjne zestawienie dwóch członów — podstawowa forma konstrukcji większości wpisów. „Wschód i północ" — wskazówka już w tytule; przeciwstawienie zimnego t u t a j i ciepłego t a m (wiersz poświęcony żonie znanego polskiego orientalisty). Tam szybkie i bujne cykle wegetatywne, więc także szybkie przemijanie: piękna i emocji. Tutaj „lądy zimnym dochowują łonem (Pamięć istot straconych przed lat milijonem". Zapamiętajmy nie tylko piękne metafory, ale i to: przeciwstawienie służy spostrzeżeniu. Zauważmy też — uogólnienie ma charakter paradoksalny; tradycyjnie w zestawieniach północ to negatyw, południe („ciepły" wschód) — to pozytyw. I jeszcze jedna rzecz — jestem pewien, że zanim powstał wiersz, pojawiła się gdzieś w ówczesnej prasie notatka informująca o odkryciu dobrze zachowanej jakiejś tam skamieliny.

To był Mickiewicza sposób na wiersz sztambuchowy — skrzący się paradoksem koncept. Pomysł „przychodzący" z zewnątrz (lektura, pobyt nad Bałtykiem, cokolwiek) lub czerpany z przykurzonej skarbnicy poetyckich chwytów: bukiet kwiatów lub całe rabatki, gwiazdy na niebie, żeglarz na morzu. Ponieważ adresat z reguły liczył się mało, nie dyktował warunków swoją osobowością, poeta niejako z niego rezygnował. Nie odrzucając podstawowego punktu konwencji pamiętnikowego wpisu musiał oczywiście „budować" wokół związku „ja — ty". Ale go nie eksponował. Akcent pada stale nie na swoistość, niepowtarzalność tego, co między „mną" a „tobą". Wręcz odwrotnie: „nasza" sytuacja służy znalezieniu ogólniejszej, uniwersalnej prawdy.

9. Jakie są owe prawdy wierszy pamiętnikowych Mickiewicza? — A jakie mogą być, gdy zaczyna się od pomysłu? „Pomysłowe".

Życie — chwilowy byt przed pogrążeniem się z powrotem w niebycie: stąd walor przyjaźni („Podróżni").

Lepiej się trudzić narażając na szwank niż grzęznąć w marazmie („Żeglarz").

Szare bywa też dostrzegane, zwłaszcza jako sąsiad kolorowego przepychu („W imionniku M.S.", z pewną modulacją także „W imionniku *").**

Ludzie raz rozdzieleni oddalają się od siebie coraz bardziej („W imionniku K.R.", „Do — w stambuch").

Mickiewicz był najstaranniej, najwszechstronniej wykształconym poetą, nie polskim, europejskim XIX wieku. Pisywał pięknie bardzo mądre, dojrzałe (chciałoby się rzec — donoszone) wiersze. Więc raczej nie w salonie. — Ty trzymasz mnie za guzik, ja trzymam białą kartkę. I co z tego wyniknie?

Mało kto dziś z nieprofesjonałów pamięta wiersz wpisany przez Mickiewicza siedemnastoletniej (tak — prawidłowość, zob. Słowacki) Celinie Szymanowskiej, przyszłej żonie poety. Bodaj jedyny to wpis żartobliwy:

„Zaczyna się werbunek, widzę, z dala goni
Ogromna ciżba pieszych, hulanów, huzarów..."

Wypada raz jeszcze pochylić głowę przed przenikliwością poety — przewiduje on, iż w tej armii będzie owszem — pierwszym, ale tylko grenadierem i wyłącznie „na prawym flanku".

10. Norwid sprawił się z twórczością sztambuchową krótko. Po prostu takowej nie pisywał. — Aha, nie bywał na salonach. — Bywał. Podsuwano i jemu pamiętniki. Wpisywał tam jednak przeważnie „inne" wiersze. A gdy godził się już na konwencję wiersza sztambuchowego, korzystał z niej genialnie: albo unik z wydobyciem czczości pamiętnikowych deklaracji, albo wygranie samych zasad gry — dla wielkiej metafory.

Pakując się pospiesznie po otrzymaniu wieści, iż pani Calergis jest w Rzymie, żegnał — na zawsze — Brukselę i Zofię Skrzynecką takim oto podpisem pod zaczętym rysunkiem:

„Te kilka rysów — są to dobre chęci,
Którym nie stało czasu do rozwicia,
Jak nam, co zawsze niezupełnie święci:
Wciąż mało czasu i wciąż nadto życia!
Proszę więc jeszcze chować mię w pamięci,
Aż wrócę skończyć..."

Może zresztą dlatego w Brukseli nie skończył, iż wcześniej w Rzymie nie zaczął. Właśnie z pobytu w Rzymie pochodzi „Improwizacja" w imionniku Leopolda Abramowicza. W tym to wpisie po raz pierwszy i ostatni wieszcz zaatakowany o wierszowaną pamiątkę ujawnił dramatyczny dylemat autora sztambuchowego.

„A o czym pisać?..."

Przecież to sedno sprawy. Przypomnijmy sobie: Słowacki — Mickiewicz. Masz mało czasu, białą kartkę i twarz przed sobą. A o czym pisać? Norwid stawia sobie to pytanie... i zapomina o wierszu sztambuchowym. Sytuacja pamiętnikowego wpisu ulega uniwersalizacji. Kłopot poety w salonie to defensywne wysiłki pozostania poetą. Dla Norwida pytanie: „A o czym pisać?", to pytanie o to, jak być poetą — sługą ludzkości, godnym obecności w jej Pamiętniku.

Wieszcz wyszedł z salonu. Sztambuchowa panienka trzyma w palcach guzik.

Foto: J. Janczak

JERZY WITCZAK

KŁOPOTY Z MIŁOŚCIĄ

Coraz więcej jest głosów w prasie, radio, telewizji, że obserwuje się obecnie (szczególnie na Zachodzie) niepokojące zjawisko zaniku uczuć miłosnych w klasycznym tego słowa znaczeniu. Człowiek współczesny, porwany zawrotnym tempem życia i pracy, zdeterminowany szybkim rozwojem cywilizacji, staje się coraz bardziej samotny, anonimowy, nie mający czasu na swoje osobiste potrzeby i uczucia, a tym bardziej na uczucie miłości. Staje się ona dla niego staroświeckim, nierealnym pojęciem, znanym tylko z poezji, filmu i literatury. Związki uczuciowe współczesnego człowieka, jego życie erotyczne jest płytkie i powierzchowne, zanika zdolność przeżyć i odczuć erotycznych, a zaczynają coraz bardziej dominować doznania wyłącznie seksualne. Im więc należałoby poświęcić swoją uwagę.

Tak stawiane horoskopy miały również swój niebagatelny wpływ na rozwój i upowszechnianie wiedzy seksuologicznej w naszym kraju. Od kilku lat obserwuje się prawdziwą ekspansję tej problematyki, liczne wydawnictwa, audycje, pogadanki, seminaria i konferencje naukowe na tematy: „Postępy współczesnej seksuologii" „Etyka seksualna", „Seks a wychowanie", „Seksuologia a prawo", „Nietypowe zachowania seksualne", „Norma seksualna w ujęciu różnych dyscyplin naukowych" i wiele innych problemów z tej dziedziny.

Wydaje się jednak, przy całym szacunku dla wiedzy seksuologicznej iż warto pamiętać, że seks stanowi tylko jeden z elementów miłości, która bez wątpienia pomimo wielu czarnych przepowiedni — jest sprawą najważniejszą w życiu człowieka współczesnego, więcej, staje się dlań właśnie jedną z najistotniejszych potrzeb, możliwością ochrony przed wyobcowaniem jego osobowości, przed stale pogłębiającą się izolacją człowieka, szczególnie w wielkich miastach.

Jak jest więc naprawdę z tą miłością? Myślę, że warto zastanowić się chwilę nad tym problemem, szczególnie teraz, gdy zaczynają kwitnąć kasztany, gdy nawet największym „oportunistom miłosnym" zdarza się doznać staroświeckiego, romantycznego dreszczyku płynącego z wiosennego spotkania z sympatyczną dziewczyną.

Zacznijmy od niepodważalnej prawdy, że pryncypia naszego ustroju, porządku społecznego stworzyły niespotykane od wieków możliwości dla rozwoju życia uczuciowego ludzi, rozwoju i pielęgnacji tego, co ogólnie i prosto nazywamy miłością. Socjalizm doprowadził przecież do prawdziwego równouprawnienia kobiety, której wpływ na kształt i rozwój miłości jest już historycznie udokumentowany. Wyeliminował z życia uczuciowego ludzi przeszkody materialne, bariery klasowe, majątkowe, kryteria oceny ludzi. Przywrócił małżeństwu właściwą rangę, umożliwiając zawieranie go z czysto uczuciowych pobudek, w którym zasadniczym kryterium doboru jest szczęście osobiste ludzi. Jednym słowem — stworzył bardzo korzystne warunki dla rozwoju miłości twórczej i głębokiej, prawdziwą swobodę w układaniu spraw uczuciowych ludzi.

Prawdą również jest, że w sposób wyraźnie dostrzegalny oddziałuje na miłość współczesna cywilizacja, rewolucja naukowo-techniczna, szybki rozwój urbanizacji. Proces ten wzbogaca ludzi wewnętrznie, ale jednocześnie powoduje wiele przeciążeń nerwowo-psychicznych człowieka, tłumiąc jego naturalną, przyrodniczą zdolność odczuwania. Rodzi się w jego psychice wiele systemów i reakcji standardowych na najbardziej złożone przejawy życia, uczucia wielu ludzi zostają pozbawione wyrazu, tracą swój cenny, indywidualny charakter. W rozwoju osobowości współczesnego człowieka obserwujemy zatem dwie przeciwstawne tendencje: jedna — wzbogacająca ludzi wewnętrznie, to skłonność do korzystania z dóbr cywilizacji (wiedza, kultura i sztuka, rozwijanie własnej osobowości, cech indywidualnych) oraz druga — (niejako samoobronna tendencja psychiki ludzkiej przed ciągłymi i pospiesznymi zmianami dnia dzisiejszego) — to powstawanie cech standardowych i powielanych. Cały ten proces ciągłych przekształceń naszej osobowości wyraźnie wpływa na zmianę stosunku współczesnego człowieka wobec miłości i małżeństwa.

Skoro zmieniamy my się sami, musi się również zmieniać nasza miłość.

Często staje się ona bardziej wątła, słabiutka, rozdrabniana na zwykły zachwyt, popęd, seks oddzielony od uczuć. Postępujący wciąż proces rozwoju człowieka zawsze — niestety, oprócz pozytywów, niesie ze sobą pewne skutki ujemne.

Doc. dr M. Kozakiewicz w książce „O miłości prawie wszystko" pisze: „Socjolodzy i psycholodzy upatrują przyczyn, dla których ludzie współcześni starają się mieć wiele, choćby przelotnych i powierzchownych związków seksualnych, w poczuciu osamotnienia towarzyszącego mieszkańcom wielkich miast, w poczuciu wyobcowania człowieka, jego osobistych spraw i potrzeb duchowych z rwącego nurtu życia dzisiejszego społeczeństwa, z nurtu, jaki porywa jednostkę nie licząc się zupełnie z nią samą jako z odrębnym indywiduum". Ale z drugiej strony — miłość współczesna — silny wzmagający się bodziec ludzkiego istnienia — wzbogaca się obecnie wewnętrznie, staje się bardziej wartościowa.

Jurij Riurikow z Instytutu Badań Socjologicznych Akademii Nauk ZSRR uważa, że miłość współczesna, ma jak gdyby dwa różne aspekty, dwa wymiary: „ilościowy" — to jej siła i żarzewie oraz „jakościowy" — to głębia miłości i skład jej uczuć. W swoim wymiarze „jakościowym" według Riurikowa, miłość rozwija się, z upływem czasu staje się bardziej człowiecza, głębiej przepojona wyższymi ludzkimi ideałami. Jeśli idzie o jej cechy „ilościowe" — to niestety, strat jest tutaj więcej niż zysków. Przeciążenia cywilizacyjne — o których była mowa — obciążają jej loty. Umniejszając energię człowieka, zapewne też umniejszają i energię w jego miłości, a tym samym osłabiają, czynią jej żywot krótszym.

Nie koniec jednak na tym kłopotów z dzisiejszą miłością.

Następny, poważny problem stwarza współczesna kobieta, która z dotychczasowego, odwiecznego „drugiego gatunku płci", „kury domowej", stała się nagle równorzędnym współtwórcą i organizatorem naszego społeczeństwa, równorzędną osobowością dla mężczyzny, która poczyniła ogromny przewrót w całej dotychczasowej i w gruncie rzeczy „męskiej" kulturze i cywilizacji. W dzisiejszej kobiecie jest bardzo dużo nowego: i rodzaj zajęć, i zainteresowania, i ideały, i uczucia. I kocha ona wreszcie, w większości przypadków nie tak, jak dawniej.

Te istotne przemiany kobiety są prawdziwym dobrodziejstwem, ale komplikują one wzajemne współżycie kobiety i mężczyzny. Kobieta oczekuje od partnera zupełnie innego, nowego podejścia do siebie, zgodnego z jej potrzebami i oczekiwaniami. Tymczasem zaś mężczyzna często odnosi się do niej w dawny, tradycyjny, nieomal wsteczny sposób, oczekując przy tym od niej, specyficznego na ogół „typowo kobiecego" podejścia. Rozminięcie się tych oczekiwań i potrzeb obydwojga, prowadzi często do małżeńskich katastrof i rozwodów.

Ale nie wpadajmy w przesadę i niepotrzebne kompleksy. Wszystko zależy przecież od nas samych. Wszak już 26-letni Karol Marks pisał: „Bezpośrednim, przyrodniczym, koniecznym stosunkiem człowieka do człowieka jest stosunek mężczyzny do kobiety. Wedle tego stosunku można więc ocenić cały poziom kultury człowieka. Charakter tego stosunku pokazuje w jakiej mierze przyrodnicze postępowanie człowieka stało się ludzkie".

Kontynuując rozważania o perypetiach miłości — spójrzmy dalej, na problemy wewnętrznych potrzeb ludzi współczesnych, które najczęściej właśnie w miłości się wyrażają i potrafią ją nieźle komplikować. Jest to chęć znalezienia u wybranego partnera możliwie najwięcej bliskich mu cech i swoistości.

Z badań prowadzonych przez Polskie Towarzystwo Planowania Rodziny na temat: „Przystosowania wzajemnego między małżonkami" wynika, że wśród motywów, które skłoniły młodych ludzi do zawarcia małżeństwa, na pierwszym miejscu znalazły się deklaracje miłości łączącej partnerów, dalej — wzajemne przywiązanie, współżycie seksualne i chęć „bycia razem". Kobiety i mężczyźni przypisują więc większą wagę w udanym małżeństwie cechom osobowościowym (takim jak: tolerancja, zrozumienie, wzajemne zaufanie itp.), choć różnie je hierarchizują. Np. kobiety — za najważniejszą cechę uważają miłość, dalej — pielęgnację i poszanowanie uczuć oraz tolerancję i zrozumienie. Mężczyźni zaś, najwyżej oceniają wierność, tolerancję i wzajemne zrozumienie.

Wydaje się więc, że i przy definiowaniu modelu udanego małżeństwa kobiety współczesne poszły wyraźnie „do przodu" niż mężczyźni, których spojrzenie jest bardziej tradycyjne. Gorzej, panowie. Z wielu sondaży i opinii małżeńskich wynika, że kobiecie współczesnej bardziej potrzebny jest mąż-partner intelektualny, aniżeli mężczyźnie żona-partnerka. Fakty te nierzadko rodzą więc między kobietą i mężczyzną rozdźwięki i dystans, znaczne rozbieżności w zaspokajaniu wzajemnych potrzeb i oczekiwań.

Ważną więc sprawą jest zrozumienie na czym polega wewnętrzny rozwój współczesnego człowieka, zrozumienie — w jak ogromnym stopniu zmienia on wzajemne stosunki we współżyciu intymnym kobiety i mężczyzny. Rodzący się nowy model życia uczuciowego ludzi, kształt miłości — różny jest od epok poprzednich. Ulega ciągłym przemianom i poszukiwaniom wraz z rozwojem naszej osobowości. Nie wykrystalizowały się przecież jeszcze reguły i zasady nowej moralności płciowej w tej dziedzinie.

Przemiany zachodzące w nas, znacznie wyprzedzają własną świadomość tychże przemian, w efekcie więc zbyt długo odnosimy się do siebie (mężczyzna do kobiety, kobieta do mężczyzny) w sposób tradycyjny, przebrzmiały, niezgodny z nową postacią wewnętrznego „ja".

W drugiej połowie naszego wieku obserwujemy stopniowe narastanie nowego, bardziej złożonego, a przede wszystkim współczesnego typu małżeństwa — małżeństwo typu partnerskiego, egalitarnego. Cechy demograficzne młodych małżeństw w naszym kraju — ich homogeniczność pod względem wieku, poziomu wykształcenia i aktywności zawodowej — stanowią obiektywne przesłanki do kształtowania się w naszym społeczeństwie wzoru małżeństwa egalitarnego. Małżeństwo to zawarte na zasadzie swobodnego, indywidualnego wyboru współmałżonka, oparte na miłości, wpływa inspirująco na powstawanie układu partnerskiego i trwałej więzi emocjonalnej między małżonkami. Również praca zawodowa mężatek — warunkująca podział obowiązków między mężem i żoną matką i ojcem — w istotny sposób przyczynia się do egalitaryzmu ról małżeńskich.

Stop. Wystarczy charakterystyki. Czyżby w tym partnerskim, egalitarnym układzie czy małżeństwie miłość była bez kłopotów? Otóż nie.

Równość małżonków w małżeństwie, często bywa opacznie rozumiana jako jednakowość mężczyzn i kobiet pod względem psychicznym. Partnerzy milcząco przyjmują, iż współmałżonek w taki sam sposób spostrzega i przeżywa fakty. Nieświadomość odmienności psychiki kobiety i mężczyzny znowu daje o sobie znać, niejednokrotnie zakłóca pożycie pary małżeńskiej.

Dla wielu spośród nas, wartości własnego „ja" są znacznie jeszcze ważniejsze, aniżeli równowaga wartości dwóch „ja", aniżeli partnerstwo „ja i ty". Tymczasem właśnie skłonność ku takiej równowadze coraz bardziej staje się dla człowieka współczesnego niezbędną potrzebą, głównym oparciem i podstawą domowego szczęścia. Równowaga dwóch „ja" cechująca małżeństwo partnerskie okazuje się po prostu niezbędna dla normalnego i prawidłowego funkcjonowania stosunków wzajemnych między kobietą i mężczyzną. Stąd też u człowieka współczesnego wartości duchowe, intelektualne w małżeństwie i rodzinie wysuwają się na plan pierwszy pośród innych wartości cenionych dotąd najwyżej.

Dla człowieka dojrzałego, świadomego, myślącego, główny powab i atrakcyjność współczesnego małżeństwa nie sprowadza się dziś do świadczeń materialnych i bytowych ułatwień (choć i one są ważne). Coraz częściej ludzie uświadamiają sobie, że najważniejsze we współczesnym małżeństwie są: właśnie silna więź psychologiczna, bliskość duchowa, wspólnota zainteresowań i poglądów, głębokie, wzbogacające człowieka uczucie. Słowem — zaspokojenie w małżeństwie miłosnych, przyjacielskich i partnerskich skłonności i dążeń.

Wydaje się więc, że układ partnerski stwarza najlepsze możliwości dla współczesnego człowieka, do wspólnego tworzenia i kształtowania spraw uczuciowych, do swobodnego czerpania z miłości wolnej od różnych nieuzasadnionych przesądów i ograniczeń, siły i zapału wzbogacającego własne życie i całej zbiorowości, w której żyjemy.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

STRIP—TEASE MOCNO UCIESZNY

Bohater świeżo wydanej powieści Kazimierza Kowalskiego jest opętany manią prześladowczą: podejrzewa żonę o zdradę, ba, o częste zdrady. Analizuje każdy jej krok, zamęcza żądaniami przyznania się do niewierności, a także do szczegółowych opisów owych wszetecznych uczynków. Bohater ...czy w sobie bowiem obsesje Otella z potrzebą cierpiętnictwa Masocha. Czy żona go naprawdę zdradza — nie wiemy, wiemy natomiast, że świadoma jego słabości i bawiąc się sytuacją udaje przypierana do muru i niby to przystępuje do wynurzeń, by za każdym razem niczym Diderotowski Kubuś fatalista dać szusa w bok tuż przed oczekiwanym grzesznym finałem i, jak to się mówiło za moich czasów, obrócić rzecz na nice. W momencie szczególnego nasilenia obsesji nasz Otello—Masoch—Scherlock Holmes wyjeżdża do rodzinnej wsi żony. Cel oficjalny wyjazdu — pisanie z dala od miejskiego ...iełku eseju o poezji, cel faktyczny — zasięgnięcie przydatnych do „śledztwa" informacji o ujawnionych w dzieciństwie wiadomych dyspozycjach żony oraz o jej życiu erotycznym w czasach przedmałżeńskich. I właśnie „terenowe" przygody naszego rogacza — czy rogacza z urojenia — na polu detektywistycznym i szeregu innych (w tym i przygoda typu Józefa z Putyfarą, ale z epilogiem dla grzesznej damy zgoła pomyślnym) tudzież różne dziwne dzienne sprawy zdumiewająco zapadłej wiochy stanowią, obok ukazywanych w retrospekcji scen indagowania „podejrzanej", fabułę utworu.

Czytelnik przyzwyczajony do brania w książce wszystkiego dosłownie, ze śmiertelną powagą i czerpania z niej niby z garnuszka przyrządzonej strawy duchowej co najwyżej znajdzie w niej kilka zręcznych kalamburów na temat techniki rządzenia (na przykładach z historii starożytnej), naukę, że zakresy pojęć: moralność i erotyka pozamałżeńska — nie w każdym wypadku pokrywają się co do cala, a też że na stresy rogaczy wybornym lekarstwem bywa... odwet. Zatem znajdzie tej strawy niewiele i o nienadzwyczajnej kaloryczności.

Rzecz w tym, że jak raz nie jest to powieść do czytania ze wspomnianą śmiertelną powagą i postąpiłby bez sensu ten, kto by przyłożył do niej miary wypracowane do oceny tradycyjnych utworów realistycznych. Mamy bowiem do czynienia z prozą parodystyczną, w której ukazana rzeczywistość jest umowna, i to bardzo. Dodajmy — z prozą przezabawną, atakującą czytelnika bez chwili przerwy niespodzianymi sytuacjami komicznymi, zawsze pomysłowymi, niekiedy bulwersującymi. Rzecz dzieje się bowiem od pierwszej do ostatniej stronicy w wymiarach groteski. Ale groteski wyjątkowo wolnej od nagminnie w ostatnich dziesiątkach lat wpisywanej w poetykę tego typu utworów problematyki lęków eschatologicznych i cywilizacyjnych, tak typowych dla Dürrenmatta, Ionesco, Witkacego, Mrożka czy... Kałużyńskiego — jeszcze jako autora młodzieńczej „Kanikuły". A i groteski, która, choć grawituje na granicy pure nonsensu i nadrealizmu, nie przekracza jednak nigdzie jej barier. Powiedzmy wprost: Kowalski nie należy do groteskopisarzy rozdzierających szaty czy biorących udział w pochodzie biczowników — takim jak w pełnej ekspresji scenie w „Grze w zabijanego" Ionesco. Nie opuszcza go zdrowa pogoda ducha i wyjątkowe we współczesnej grotesce rozbawienie. Zajmuje się też nie generaliami, lecz wykpiwaniem nie rewidowanych od lat, mimo przemian i przyspieszonego biegu czasu, anachronicznych wyobrażeń, liczmanów i sztamp myślowych. W tym również mieszczuchowskiego wyobrażenia o wiosze nadal jeszcze kmiotkowej, gapiowatej i prymitywnie głupiej, które to wyobrażenie tak świetnie wpływa na samopoczucie i wiarę „strasznego mieszczanina" w jego duchowe przodownictwo w niezmiennym rzekomo świecie. W tym także i bezkrytycznego pojmowania frazesu o zagadkowych, bezkresnych głębinach każdej w ogóle psychiki ludzkiej, a tym samym rozpowszechnionego w literaturze fantazjotwórstwa, zwanego szumnie literatura psychologiczna.

Kowalski — prześmiewca w powieści nacelowanej na wykpienie obsesji tematycznych i manieryczności faworyzowanej przez modę i snobistyczną krytykę estetyki używa, gwoli przedrzeźnienia, jej charakterystycznych konwencji i chwytów formalnych. Najkapitalniejsze, że przy okazji daje istny popis zręczności w stosowaniu i wzajemnym wiązaniu różnorakich technik. I tak parodiując rodzimych naśladowców Butora, Robbe—Gilleta i innych liderów „nowej powieści" zabawia nas dowcipnymi wtrętami autotematycznymi oraz pisaniem całych partii w trybie warunkowym. Celem tego zabiegu było, naturalnie, wykpienie traktowania przez rodzimych snobów literackich jako prawdy objawionej poglądu teoretyków „nowej powieści", że granica między Zaistniałym a jedynie Wyobrażonym jest jakoby iluzoryczna. Kowalski w dowcipny sposób używa też przemiennie dwóch metod pozostających wzajemnie w stosunku ognia z wodą: metody opisu behawiorystycznego, tzn. wyłącznej rejestracji zachowań zewnętrznych, dostępnych postronnemu oku i uchu, i zaraz potem całkowicie opozycyjnej metody dawania czytelnikowi pełnego wglądu w całą magmę psychiczną — myśli w różnych stadiach ich konkretyzacji, luźnych wrażeń i odczuć — danej postaci w konkretnym momencie, czyli ukazywania potoku świadomości.

Powiedzmy na koniec, że w sposobie ukazywania wsi oraz w groteskowej konfrontacji wywodzącego się z niej inteligenta (tu płci żeńskiej) z pozostałym w opłotkach środowiskiem Kowalski „przypomina" Redlińskiego.

Ujęcie stwierdzenia „przypomina" w cudzysłów jest tu właśnie bardzo istotne. Czytelnik, nieświadomy z natury rzeczy poprzednich wydawniczych losów „Strip-teasu", ma prawo uważać, że powieść Kowalskiego w tej warstwie jest wtórna wobec „Awansu". Tymczasem została napisana grubo przed olśniewającą karierą autora wywiadu postulującego... wyrzucenie ze świadomości narodowej utworów polskiej romantycznej trójcy. Została napisana i złożona w pewnym wydawnictwie. Tam jednak nie natrafiła na odpowiednio wrażliwego czy obeznanego z arkanami groteski literackiej redaktora. W rezultacie przeleżała przez wiele lat w szufladzie autorskiej, tracąc w ten sposób szansę na odegranie we właściwym czasie roli w dyskusji — nie tylko literackiej.

Habent sua fata libelli.

W chwili, gdy to napisałem, uświadomiłem sobie, że tamto starorzymskie zdanie sformułowane zostało w czasie teraźniejszym.

Kazimierz Kowalski. „Strip-tease bez uciechy". Wyd. „Śląsk", Katowice 1977, cena zł 22.

Maria Dąbrowska *Foto: Archiwum*

ODYSEJE MARII DĄBROWSKIEJ

Dalszy ciąg ze str. 1

Pod koniec roku 1915 wyjechałam do Lublina i tam znów spotkały się nasze drogi. Mieszkaliśmy z mężem „na kawalerce", trudno więc było rozwinąć szersze stosunki towarzyskie. Widywałyśmy się jednak często z panią Marią w domu Juliusza Poniatowskiego, z którym była zaprzyjaźniona jeszcze od czasów brukselskich, w Bibliotece im. Łopacińskiego, spędzając tam długie godziny na czytaniu książek, których nie mozna było wypożyczyć do domu, to znów przy okazji rozmaitych imprez, które ja organizowałam, a pani Dąbrowska wygłaszała na nich odczyty. Były to imprezy Towarzystwa Krzewienia Oświaty, wykłady zaś dotyczyły przeszłości i teraźniejszości wsi polskiej.

Potem pani Maria wróciła do Warszawy, a my wyjechaliśmy z mężem do Hajnówki. Gdy w roku 1936 wyszły „Pamiętniki chłopów", pisarka chciała wybrać się do Hajnówki, gdzie ją już wcześniej zapraszałam — i gdzie mieszkało dwóch autorów tych „Pamiętników" Pragnęła też odwiedzić Puszczę Białowieską. Z mojej korespondencji z panią Dąbrowską zachował się jej list z roku 1933, bardzo charakterystyczny, bo pisany tuż po ukończeniu „Nocy i dni".

Biorę do ręki złożoną podwójnie kartkę papieru, zapisaną drobnym, ukośnym pismem. Kartka ma liczne zacieki — pani Pelagia przechowywała ją w czasie wojny wraz z innymi ważnymi dokumentami w skrzynce, zakopanej w ogrodzie. List jest jednak czytelny. Oto jego treść:

31.VII.33. Szanowna i Droga Pani! Pierwszy list Drogiej Pani zastał mnie na wyjeździe nad morze. Obiecałam stamtąd Pani odpisać, aby wyrazić wielki żal, że tegoroczne wakacje ułożyły mi się jakoś inaczej oraz podziękować za serdeczne zaproszenie. Pani pozwoli nie zrezygnować mi z niego na przyszłość, ale byłam tak przemęczona nieustającym wysiłkiem kilku lat, w ciągu których nie pozwalałam sobie ani na jeden dzień zupełnego wypoczynku, że kiedy znalazłam się w Rozewiu, zupełnie niezależnie od mojej woli wyszło z mojej myśli i pamięci absolutnie wszystko, co zaprzątało mnie w Warszawie. Byłam zdolna jedynie wchłaniać bezmiar czystego powietrza i wałęsać się samotnie po polach i wybrzeżu. Byłam zupełnie sama w małym jak pudełko zapałek domu znajomych, którzy ofiarowali mi tam przed Pani miłym listem gościnę podczas ich nieobecności. Wyjątkowo tym razem odpowiadała mi ta zupełna samotność.

...Wczoraj wróciłam stamtąd już zupełnie normalnym człowiekiem i zastałam Pani drugi list. Nie wiem naprawdę, jak Drogą Panią przepraszać, jak dziękować i jak żałować, że także i teraz nie mogę jeszcze przybyć do Hajnówki, chociaż tak bardzo pragnę tam być, nie mogę wprost opowiedzieć. Ale już od wiosny mam umówiony wyjazd do Małopolski, do pewnego letniskowego dworu, dokąd jadę w dodatku z kimś z przyjaciół, kogo ze względu na stan zdrowia nie chcę puścić samego. Nie wiem, czy mogę śmiałość moją posunąć do tego, by Panią prosić bardzo o pozwolenie napisania do Niej po powrocie we wrześniu, może wtedy tak się złoży, że będę mogła choć na kilka dni przyjechać. Na zachowaniu tego kontaktu zależy mi bardzo, nie tylko ze względu na Puszczę, której istotnie nie znam i chcę poznać, ale ze względu na Państwa, a zwłaszcza na Drogą Panią, której wspomnienie zarówno z pierwszych miesięcy wojny jak i z Lublina zachowało mi się żywe i ciepłe. Byłabym gorąco wdzięczna, gdyby Pani zechciała mi odpowiedzieć, czy się nie gniewa i pozwoli mi później napisać. Łączę serdeczne pozdrowienia i słowa gorącej wdzięczności za dobroć i pamięć. Maria Dąbrowska."

— Niestety, do planowanego przyjazdu nie doszło — mówi pani Rakowiecka. — Ale została mi ta pamiątka, wspomnienie po człowieku tak w swojej pracy, jak i w stosunkach osobistych uderzająco skromnym i wrażliwym.

• • •

Zróbmy powrotną podróż w czasie i w przestrzeni. We wspomnieniu „Jak zostałem pisarzem", zamieszczonym w I tomie „Pism rozproszonych" Marii Dąbrowskiej czytamy:

„Mając 15 lat napisałam dwa opowiadania. Posłałam je do „Gazety Kaliskiej", a wkrótce ku memu osłupieniu zobaczyłam je wydrukowane. Ale w tym czasie pochłaniał mnie inny rodzaj wzruszeń. Poznawałam zagadnienia społeczne, krzywdę ludu, nieszczęście i poniżenie własnej ojczyzny. Zapragnęłam zbawić ojczyznę i przeobrazić świat. Literatura piękna wydała mi się czczą zabawą, a własne próby twórczości śmieszną pretensją. Toteż zamiast cieszyć się ich powodzeniem, pewnej niespanej nocy w czasie wakacji na wsi spaliłam owe moje pierwsze drukowane utwory. Niszczyłam je w poczuciu wielkiej całopalnej ofiary i płacząc z żałości nad światem, który — jak myślałam — bardzo będzie żałował, że nie zostanę pisarką! Jak widzicie, wtedy właśnie byłam bardzo pretensjonalna i pyszna".

I nieco dalej, w tym samym wspomnieniu:

„...Tłumione, ale wciąż przeżywane wzruszenia artystyczne domagały się tymczasem coraz natarczywiej swego wyrazu. Aż wreszcie pewnej wiosny przemogłam nacisk środowiska i zaczęłam pisać opowiadania o charakterze czysto artystycznym, które weszły potem do mego młodzieńczego zbiorku pod tytułem „Uśmiech dzieciństwa". Moi przyjaciele-społecznicy wołali, rwąc włosy z głowy: „Co pani robi! Po co pani pisze te głupstwa, te dyrdymałki!" Lecz byli inni przyjaciele, którzy mówili mi: „Niech pani jak najprędzej rzuci wszystko i weźmie się na serio do twórczości artystycznej". Słuchałam tych głosów z jednaką czułością, gdyż i jedni przyjaciele i drudzy życzyli mi jak najlepiej: wiedziałam też dobrze, co zawdzięczam okresowi pracy społecznej. Ale wiedziałam i to, że cokolwiek mówią jedni i drudzy, ja pójdę za głosem powołania, który dość późno, co prawda, kazał mi podjąć na dobre twórczość pisarską artystyczną".

Zacytowana książka wyszła pod redakcją i z przypisami Ewy Korzeniowskiej. W interesujących przypisach dotyczących działu „Wspomnienia" jest mowa o tym, że „Obejmują one lata od wczesnego dzieciństwa autorki po rok 1945. Wiele z nich sięga do pierwszego okresu twórczości, natomiast żadne nie dotyczy czasu między 1916 a 1925 rokiem, kiedy pisarka przechodziła od publicystyki do twórczości literackiej. Proces ten przebiegał powoli poprzez formy dydaktycznych opowiadań dla dzieci, poprzez próby artystycznego opracowania własnych przeżyć z dzieciństwa".

Otóż myślę, że nie tylko przez te formy. Dla mnie najbardziej wymownym „procesem przechodzenia" jest twórczość reportażowa Marii Dąbrowskiej. Można założyć, że Dąbrowska zdawała sobie sprawę z tego, czym jest w szkole pisarskiej przedmiot zatytułowany „reportaż". Na tym właśnie gruncie starała się godzić, łączyć ze sobą „służbę dla idei" z „dyrdymałkami", czyli twórczością artystyczną.

W roku 1923 Dąbrowska pisze reportaż „Dwa tygodnie w Gdyni" — rzecz o budowie portu.

W roku następnym powstaje reportaż „Brzydkie miasto" — z podróży do Białegostoku:

„...Jest to, proszę państwa, duże miasto, handlowe i przemysłowe. Jeden z głównych ośrodków przemysłu bawełnianego. Jeden z punktów wysyłki towarów na wschód. Ponieważ te wszystkie rzeczy rozwinęły się w nim czasu niewoli, więc też i całe nowe miasto, nie liczące stu lat życia, odpowiednio wygląda. Oto ulica Sienkiewicza, Lipowa i poboczne. Oto ich przeraźliwa brzydota. Ohydne trzypiętrowe kamienice budowane są z kremowych, z bladoróżowych, z czerwonych cegieł, układanych wzorzyście, najeżone są, nazdobione, nabrzydzone.

...Białystok ma wszystkie dane na to, żeby stać się bardzo pięknym — stosunkowo tanim kosztem. Posiada on to, czego nie ma Warszawa — szerokie perspektywy, luźne przestrzenie, dużo zieleni, drzew, nie potrzeba go nazbyt przebudowywać. Lecz ta sprawa musi się stać przedmiotem czyjejś ambicji."

— Pani Maria bardzo interesowała się Białymstokiem — wspomina doktor Szaykowska. — Często tu przyjeżdżała, czuła się z nim związana również ze względów rodzinnych. Po pierwszej wojnie światowej osiedliła się w Białymstoku matka pisarki, pani Szumska, ze swą młodszą córką Jadwigą.

Maria Dąbrowska często odwiedzała rodzinę, przyjeżdżała także z odczytami do Białegostoku. Czasem zatrzymywała się w hotelu „Ritza", a czasem u siostry, która po śmierci matki stacjonowała u mnie. Tak się złożyło, że mieszkałam i dalej mieszkam chyba w najbrzydszej dzielnicy miasta. To trochę moja wina, że pani Maria wywoziła stąd tak „brzydkie wrażenia". Bardzo jednak szkoda że nie widziała Białegostoku z ostatnich lat...

• • •

W roku 1937 Maria Dąbrowska jest już znaną i cenioną pisarką, laureatką Państwowej Nagrody Literackiej. Nie zarzuca jednak reportażu. Na wieść, że w okolicach Czarnocina tworzą się nowe formy życia spółdzielczego — była przecież działaczką spółdzielczą od wczesnej młodości — udaje się na Ziemię Łódzką i wędruje „od wioseczki do wioseczki".

„...Po naprędce spożytym obiedzie śpieszymy zobaczyć, jak wygląda wieś w trakcie wielkiej przebudowy. Idzie nam o wieś Prażki, która właśnie tylko co została skomasowana.

Prażki przeprowadzają się na nowe kolonie. Przestały istnieć w swojej dawnej postaci, a ledwo zaczynają istnieć w nowej. Noga za nogą mijamy starą wieś, która wygląda jakby ją strawił pożar albo zniszczyła wojna. Gdzieniegdzie widać jeszcze stare obejścia, samotne i otoczone ruiną, jak istota osierocona i zwlekająca z porzuceniem kątów, gdzie śmierć wszystko pobiła. Większość domostw już się znad tej drogi wyniosła. Został po nich nieład miejsc rozkopanych, które wkrótce mają się zmienić w cząstki uprawnych pól. Wszędzie sterczą resztki przepalonych kominów niezdatnych już do przeniesienia. Nad zniknięciem osłanianych tak długo sadyb dumają drzewa — skazańcy przed zagładą. Rozegrał się tutaj wielki dramat świadomego odrywania się od prastarych siedzib. Cicha i potężna walka przeszłości z przyszłością. Bicie się z myślami, ostry żal, ciężki smutek, radość postanowienia, złote nadzieje, bujne zamiary stworzenia nowego życia, patos, od którego nie idą bynajmniej „dycny po całej literaturze".

...Dziwna myśl nawiedza mnie śród owych widoków. Myśl, że pojeni marzeniami o uzyskaniu kolonii, przestajemy widzieć, jaką dziewiczą, nie wyzyskaną egzotyczną kolonią jest nasza własna ojczyzna."

• • •

Wróćmy raz jeszcze na Ziemię Białostocką czyli do punktu wyjścia. Nie po to, by mówić o tutejszych wsiach i dzisiejszej spółdzielczości, czy też może postulować dalsze uprzemysłowienie tego regionu. Dla mnie ma on urok właśnie dlatego, że nie jest nazbyt uprzemysłowiony. Sądzę ponadto, że jego wyjątkowe walory można spożytkować w całkiem inny sposób, a mianowicie — przez rozwój turystyki. Jednakże umiejętny i także — umiarkowany.

Jest to ziemia rzadkiej piękności i bardzo bym nie chciał żeby została doszczętnie stratowana. Nie chciałbym również, żeby niektóre jej zakątki przestały być zakątkami. A zwłaszcza ten zakątek, w który zaszywam się każdego lata.

Ze zrozumiałych powodów nie zdradzę jego dokładnego położenia. Powiem tylko, że znajduje się on na Suwalszczyźnie. A odwiedzała go niegdyś poprzedniczka nielada. Oczywiście — Maria Dąbrowska. Dla ciekawości: z Warszawy do Suwałk jechało się wtedy (był to rok 1927) przez... Grodno. Z Suwałk zaś pisarka wybrała się wraz z gospodarzami na Wigry:

„...Wjechaliśmy w bór sosnowy. Mijaliśmy poręby zalane słońcem i zarośnięte dziką naparstnicą — kwitnącą właśnie w tej porze. Bór ten stał się powoli nieco wzgórzysty i za wzgórzami zaczęliśmy nagle wyczuwać jasną przestrzeń.

Wyskoczyliśmy z wozu i pobiegli naprzód. Między brunatnymi od igliwia stokami zaniebieścial gęsty płomienny szafir jeziora — a po chwili mieliśmy całe Wigry przed sobą. Wigry rozlewają się dziko i samotnie śród brzegów niebywale malowniczych, a które rzadko kto odwiedza. Myśmy podjechali do niego od wsi Cimnochowizna. Na przeciwległej stronie widzieliśmy półwysep z wsią Wigry i piękny klasztor nad jasną wodą czuwający.

...Dalej głęboka zatoka wody wrywa się aż pod horyzont. To Czarna Hańcza wypływa tamtędy z jeziora. Dalej na lewo zatacza się już ono bliżej, objęte czarnym ramieniem boru. Po naszej stronie jest ujście Czarnej Hańczy — utajone w nieprzebytych moczarach."

Strony te znam jak własną kieszeń: i Wigry, i Czarną Hańczę, i tamten bór nad jeziorem. Przemierzyłem go dziesiątki razy. Jednakże po tym opisie spojrzę na to wszystko tak jak bym tam był po raz pierwszy.

TADEUSZ GICGIER

Reportaż z książki pt. „O człowieku, któremu wystarczał ogarek", która ukaże się nakładem wydawnictwa „Iskry".

Foto: J. T. Siciński

Foto: Archiwum

MARIAN MAJ

TEN PIERWSZY

Przed siedemnastu laty człowiek po raz pierwszy opuścił naszą planetę i poszybował w kosmiczną przestrzeń. Wkroczył na szlak przez nikogo jeszcze nieprzetarty, pełen tajemnic, zupełnie nieznany. Zdarzyło się to dokładnie w środę — 12 kwietnia 1961 roku, w rozsłonecznionym, choć chłodny ranek wczesnej rosyjskiej wiosny.

RADIO MOSKWA PRZERWAŁO PROGRAM

Na kosmodromie Bajkonur trwały ostatnie, gorączkowe przygotowania do wielkiego lotu. Panowała podniosła, ale nie pozbawiona podniecenia i nerwowości atmosfera.

Natychmiast po starcie, około godziny 10.00 Radio Moskwa przerwało nadawanie normalnych, przewidzianych programem audycji, zapowiadając nadzwyczajny komunikat Agencji TASS. Odczytał go znany spiker stołecznej Rozgłośni, Lewitan. Komunikat był krótki i lakoniczny:

„12 kwietnia 1961 roku w Związku Radzieckim wprowadzony został na orbitę ziemską pierwszy w świecie kosmiczny statek „Wostok" z człowiekiem na pokładzie. Pilotem — kosmonautą kosmicznego statku jest obywatel Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, major — pilot Jurij Aleksiejewicz Gagarin".

MIASTO GŻACK

Tamtego dnia wszystkie inne wydarzenia nie budziły na świecie niczyjego zainteresowania, wydawały się nieważne, błahe, marginesowe. Agencje prasowe, stacje radiowe i telewizyjne w informacjach związanych z udanym lotem podawały krótki życiorys pierwszego kosmonauty świata. W tych wiadomościach powtarzała się coraz częściej nazwa prowincjonalnego rosyjskiego miasteczka — Gżack.

Niczym szczególnym Gżack dotychczas się nie wyróżniał — ot, zwykłe sobie 10-tysięczne miasteczko, spokojne i pracowite zarazem, jakich setki, tysiące napotkasz w rozległym Kraju Rad. Było centrum administracyjnym i kulturalno-oświatowym rolniczego rejonu. Położone w obwodzie smoleńskim, w pięknej okolicy, pełnej rzek, jezior i rozległych lasów. Prawdziwy raj dla myśliwych, rybaków lub zwykłych wielbicieli nie skażonej jeszcze niczym przyrody. Niedaleko stąd bierze swój początek rzeka Moskwa. Do stolicy od Gżacka zupełnie blisko, zaledwie 124 km.

Tamtego dnia miasteczko od razu stało się sławne w Związku Radzieckim i daleko poza jego granicami. Tutaj bowiem, w małym drewnianym domku przy ulicy Leningradzkiej mieszkali najbliżsi Jurija Gagarina — matka, ojciec, siostra Zoja. W tym mieście żyli również dwaj jego starsi bracia — Walentin i Borys.

Było to w zasadzie jego rodzinne miasto, chociaż urodził się nie tutaj, lecz w pobliskiej wsi Kłuszyno. Jego rodzice pracowali w tamtejszym sowchozie. Ojciec kosmonauty — Aleksiej Iwanowicz Gagarin był mistrzem ciesielskiej brygady. Kilka miesięcy po przyjściu na świat przyszłego kosmonauty cała rodzina przeniosła się do Gżacka.

TAMTEN DZIEŃ W GŻACKU

12 kwietnia 1961 roku ciche i senne nieco miasteczko przeżywało swój wielki, niezapomniany dzień. Gagarinów znali tu wszyscy. Na dobrą sprawę nikt prawie wtedy w Gżacku nie pracował. Panował podniosły i radosny nastrój. Ulica Leningradzka nie mogła pomieścić tłumów ludzi, którzy ciągnęli tu ze wszystkich stron, by dzielić z rodziną Jurija najpierw niepokój, a później radość ogromną, kiedy już było po wszystkim, kiedy Wostok wylądował szczęśliwie na ziemi, dokładnie w przewidzianym przez uczonych punkcie Związku Radzieckiego. Raz po raz ulica rozbrzmiewała gromkim — hurra, wznoszonym na cześć swojaka, który pierwszy na świecie przebył drogę ku gwiazdom.

Dzisiaj o Gżacku możemy mówić tylko w czasie przeszłym. Ta nazwa nie figuruje w spisie radzieckich miast. Przed dziesięciu laty, po tragicznej śmierci kosmonauty, na prośbę mieszkańców całego rejonu, uchwałą Rady Najwyższej Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich Gżack został przemianowany na Gagarin.

MIASTO GAGARIN

Wiosna 1973 roku zawitała tu bardzo wcześnie. Było słonecznie, ciepło, jakby to był przynajmniej początek lata. Zakwitły już bzy i wszędobylska czeremcha — bardzo popularna w tamtych stronach. Wiśniowe sady także już były obsypane kwieciem. W miasteczku leżącym na uboczu od głównego traktu drogowego Mińsk — Moskwa panowała cisza świątecznego dnia. Przed domkami, na drewnianych ławeczkach siedzieli mężczyźni, kurzyli papierosy i o czymś tam niezbyt głośno rozprawiali.

Tuż przed południem ciepłego majowego dnia znalazłem się na ulicy Leningradzkiej. Niewielki, drewniany, zbudowany z grubych, ciosanych bali. Dach kryty gontem. Gdzieś w połowie domku dobudowana do bocznej ściany oszklona werandka. Całość otoczona niziutkim i niezbyt szczelnym drewnianym płotkiem. Na szczytowej ścianie, tej od ulicy, tablica z napisem „Muzeum Pamięci Jurija Aleksiejewicza Gagarina".

U wejścia na podwórze oczekuje mnie dwoje niemłodych już ludzi — rodzice: Anna Timofiejewna i Aleksiej Iwanowicz Gagarinowie. Stali tuż przy uchylonej furtce. Przyszli, dowiedziawszy się, że ma przyjechać gość z Polski.

MUZEUM

Pierwszy z eksponatów muzealnych znajduje się na podwórzu. Jest to prywatny samochód Jurija Gagarina — ciemnogranatowa, nieco sfatygowana już „Wołga". Właściwie muzeum, chociaż niewielkie rozmiarami, mieści się bowiem w dwóch średniej wielkości pokojach — jest znakomicie skomponowane. Można prześledzić w nim wcale niełatwą drogę Jurija ku gwiazdom, jego uporczywe i konsekwentne działanie, by znaleźć się w gronie najlepszych. Dużo tu zdjęć — od pierwszego, zrobionego przez jakiegoś kiepskiego amatora we wsi Kłuszyna, aż do ostatniego — ukazującego fragment uroczystości pogrzebowych.

Po zwiedzeniu muzeum rodzice kosmonauty zapraszają mnie do mieszkania. Ich domek znajduje się teraz naprzeciwko muzeum. Mieszkanie Gagarinów to jakby ciąg dalszy muzealnej ekspozycji. Z jego ścian, z dużych zdjęć patrzy na nas Jurij, najczęściej uśmiechnięty.

KSIĄŻKA

Na zakończenie wizyty otrzymuję cenny dar — książkę Walentina Gagarina pt. „Mój brat Jurij". Ukazała się ona w 1972 roku i mimo wielkiego nakładu natychmiast prawie zniknęła z księgarskich półek.

Oto fragment tej książki:

„Wczesnym rankiem 12 kwietnia 1961 roku udał się ojciec do Kłuszyno. Szedł dość szybko, bo droga daleka, prawie 14 km. Przechodząc przez wieś Fomiszino spotkał znajomka.

— Słuchaj Aleksiej — powiedział znajomek — a dokąd to?

— A do Kłuszyno. Budujemy tam sowchozowy klub.

Wiesz, Aleksiej, patrzę ja na ciebie i... Bo moja baba mówiła mi przed paru minutami, że człowieka wypuścili w kosmos. Radio podało i wychodzi na to, że to twój synek lata w kosmosie.

— Czego to baby nie wymyślą — odpowiedział ojciec.

U przeprawy przez rzekę Aleśnię przewoźnik z radością powitał ojca.

— Czekałem ja dziś na ciebie bardzo niecierpliwie. Choć słonko grzeje niezgorzej, ziąb jeszcze idzie od rzeki.

— Nie szkodzi, zaraz się rozgrzejemy — ojciec zza pazuchy wyciągnął butelczynę. Taki tu panował zwyczaj, że rozgrzewało się prawie zawsze zziębniętego przewoźnika. Nalali do szklaneczek.

— No, za twojego synka, Aleksieju. Żeby mu się dobrze leciało.

— A jakiż tam mój syn. Mało w Rosji Gagarinów. Też wymyśliłeś.

Niedługo potem ojciec znalazł się w Kłuszyno. Przed domem, gdzie kwaterowała jego ciesielska brygada, zebrał się tłum ludzi. Ujrzawszy ojca wyrwał się z tłumu przewodniczący Rady Wiejskiej, Wasilij Biriukow. Nie dał ojcu dojść do słowa, ściskał go i całował.

— Sekretarz Komitetu Rejonowego, Fiedorenko, dzwonił do mnie już parę razy — powiedział. — Zagroził mi, że skróci mnie o głowę, jeśli natychmiast nie dostawię cię do Gżacka. Masz tu konia. Na drodze czeka na ciebie samochód.

Za kierownicą terenowego gazika siedział sam Fiedorenko. Ruszyli do Gżacka z maksymalną szybkością. Kiedy dotarli na Leningradzką, wokół domu Gagarinów pełno było ludzi. Rozległo się gromkie, trzykrotne „hurra", na cześć ojca kosmonauty. Chciał ojciec coś tym ludziom powiedzieć, podziękować, ale sekretarz Fiedorenko mocno ujął go za ramię, wprowadził na podwórze i rzucił na pastwę dziennikarzom i fotoreporterom".

EWA PAWLIKOWSKA
JAN SZAŁOWSKI

W POSZUKIWANIU JĘZYKA PRZYSZŁOŚCI

Były czasy, gdy znaczne obszary Europy korzystały z dobrodziejstw jednego języka — uniwersalnej łaciny. Od XVI w. jednakże, kiedy Europa „wypłynęła na oceany" rolę łaciny klasycznej przejęły w stosunkach międzynarodowych języki wywodzące się z łaciny ludowej: hiszpański, włoski, po części portugalski a zwłaszcza francuski. Ten ostatni przejął z czasem większość atrybutów uniwersalnej łaciny i przez 200 lat, po aż do I wojny światowej, panował niepodzielnie w Europie. Wiek XX wraz ze swymi ważkimi przemianami społeczno-politycznymi przyniósł upadek hegemonii języka i kultury francuskiej.

W ostatnich kilkudziesięciu latach jesteśmy świadkami zwiększania się liczby języków o charakterze międzynarodowym. W wieku XX wzrosła znacznie rola języka rosyjskiego arabskiego, chińskiego, japońskiego, jak też hindi. Narody Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej odkrywają wartości własnej kultury, ograniczając wpływy kultury zachodnioeuropejskiej. Szczególnym symptomem ostatnich lat jest afirmacja tożsamości kulturalnej ludów afrykańskich. Językom negroafrykańskim przypisuje się wielkie znaczenie nie tylko w dziedzinie kultury, oświaty i administracji, ale także w stosunkach panafrykańskich oraz w przemyśle i literaturze technicznej. W czasie międzyrządowej konferencji na temat polityki kulturalnej w Afryce (Akra październik 1975) dyrektor generalny UNESCO zgodził się, aby kształcenie interpretatorów (tłumaczy kabinowych) w zakresie języków afrykańskich korzystało z priorytetu w programach organizacji. Sprawa tłumaczeń symultanicznych oraz tłumaczenia dokumentów jest poważnym problemem w samej ONZ. Organizacja ta nie posiada wystarczającej liczby interpretatorów potrafiących tłumaczyć z arabskiego czy z chińskiego na inne języki urzędowe, zwłaszcza na hiszpański i rosyjski. W tej sytuacji tłumaczy się poprzez angielski, lub francuski co pociąga za sobą liczne zniekształcenia. ONZ ponosi ponadto olbrzymie koszty związane z tłumaczeniami każdego dokumentu na sześć języków. Według oficjalnego raportu organizacje systemu ONZ w 1976 roku wydały bezpośrednio ponad 105 mln dol. w związku z różnorodnymi tłumaczeniami.

Tradycyjnie większość ludzi rozwiązanie trudności językowych wynikających z wielojęzyczności świata upatruje w kształceniu „poliglotów". Praktykuje się to m.in. w Europie zachodniej. Młodzież w państwach EWG uczy się wzajemnie swoich języków narodowych. Dążenie do tego, by przeciętny obywatel poznał wiele języków jest, jednakże, ułudą. Już w XVII w. Jakub Sobieski krytykował powierzchowną znajomość języków obcych. W instrukcji dla swego syna, późniejszego króla Jana III pisał: „Umieć zaś różne cudzoziemskie języki, a każdego dobrze nie umieć, lepiej żadnego się nie uczyć."

Od wieków zamyślano o stworzeniu planowego języka uniwersalnego. **Prób opracowania takiego języka podjęto kilkaset. Parali się tym, J. A. Komeński, R. Descartes, W. Leibniz, I. Newton, F. M. Voltaire, J. M. Schleyer, L. Ł. Zamenhof** i wielu innych. Nad stworzeniem języka ogólnosłowiańskiego pracował **S. B. Linde.** Z projektów tych wszedł w życie tylko język wypracowany przez Zamenhofa, toteż jest on często nazywany jedynym żywym językiem planowym. Nie ma w tym przesady, albowiem dla co najmniej kilkuset osób zrodzonych z międzynarodowych małżeństw esperanckich jest językiem znanym od kolebki. Od lat powstaje też oryginalna proza i poezja.

O esperancie, jako zjawisku społecznym można mówić począwszy od 1905 roku, kiedy to odbył się pierwszy Światowy Kongres Esperantystów. Przez wiele lat ruch esperancki ograniczał się praktycznie do Europy. Istotne zmiany nastąpiły dopiero po drugiej wojnie światowej, kiedy bardzo silny ruch powstał m.in. w Japonii i w Brazylii. Ewenementem ostatnich dwu lat jest natomiast niespodziewane powstanie prężnego ruchu w Iranie. Inicjatorem wprowadzenia esperanta do szkół irańskich jest dr M. H. Saheb-Zamani, wykładowca socjologii na Uniwersytecie Teherańskim. Doktor Zamani stał się zwolennikiem tego języka przed niespełna 3 laty po stwierdzeniu jego walorów, jako ponadetnicznego języka międzynarodowego. Nie kierował się przy tym żadnym sentymentem do esperanta, lecz prostym rachunkiem ekonomicznym i zasadami prakseologii. W wywiadzie udzielonym miesięcznikowi „Esperanto" stwierdził m.in., że w szkołach irańskich poświęca się przez 7 lat po 6 godzin tygodniowo na naukę języków obych. Zajmuje ona 20 proc programu nauczania i kosztuje państwo 400 mln dol. rocznie. Oznacza to wielkie marnotrawstwo czasu uczniów, jak też budżetu Ministerstwa Szkolnictwa zwłaszcza, jeżeli weźmie się pod uwagę, że według stwierdzenia samego ministra szkolnictwa nawet po 7-letniej nauce angielskiego uczniowie nie potrafią powiedzieć, czy napisać jakiegokolwiek zdania bezbłędnie. Zamani stwierdził także, iż esperanto jest łatwo osiągalnym środkiem komunikowania się dla narodów Trzeciego Świata, umożliwiając im osiągnięcie naukowej i technicznej wiedzy oraz kulturalnego dziedzictwa Zachodu bez poprzedniej wieloletniej nauki innego języka narodowego, co najczęściej daje niezadowalające rezultaty.

W ciągu wieku XX esperanto otrzymało liczne pozytywne opinie o swojej roli w świecie. Znana, lecz warta przypomnienia jest wypowiedź Włodzimierza I. Lenina pochodząca z ostatnich lat jego życia: **„Esperanto jest łaciną proletariatu i spodziewam się, że dzięki swej idealnej łatwości rzeczywiście pomoże porozumieniu się świata." Szereg podobnych wypowiedzi o esperancie padło w minionym roku. I tak dyrektor generalny UNESCO dr Amadou Mahtar M'Bow przemawiając do uczestników 62 Światowego Kongresu Esperantystów w Reykjaviku podkreślił, iż ruch esperancki cechuje respekt dla różnorodności kulturowej i dążenie do umożliwienia bezpośredniego zrozumienia miedzy ludźmi mówiącymi odmiennymi językami. Również ambasador Australii przy ONZ Ralph L. Harry przemawiając w St. Louis w czasie zeszłorocznego kongresu Stowarzyszenia Badania Stosunków Międzynarodowych zaproponował przyjęcie przez ONZ języka uniwersalnego. Przedstawił on 5-letni plan wprowadzenia esperanta do tej organizacji. Podobnie jak Saheb-Zamani, motywował to wspomnianym wynikiem rachunku ekonomicznego. Do ciekawszych należy także wypowiedź prezydenta J. Cartera. W posłaniu do uczestników Narodowego Kongresu Esperantystów USA stwierdził m.in.: „Dalsza poprawa komunikatywności między jednostkami i narodami jest jedną z metod konstruowania coraz większego zrozumienia międzynarodowego i dobrej woli. Pochwalam wasze dążenia przyczyniające się do tego celu."**

Polski Związek Esperantystów, podobnie jak inne związki krajowe zrzeszone w Światowym Związku Esperantystów, realizuje w praktyce postulat posługiwania się jednym, wspólnym, uniwersalnym językiem. Przykładem takiej działalności jest **utworzenie przez oddział łódzki PZE Aperta Universitato Esperantista, Esperanckiego Uniwersytetu Otwartego.** Inicjator uniwersytetu, przewodniczący oddziału łódzkiego PZE wieloletni lektor języka esperanto na UŁ, mgr **Jerzy Wesołowski,** wyczuwając potrzebę prezentowania dorobku naukowego, technicznego i kulturalnego przez esperantystów ze środowisk polskich i zagranicznych, oparł się na dewizie, że wiedza i kultura jest własnością całej ludzkości, esperanto zaś środkiem ich upowszechniania.

Będąc jednocześnie praktykiem życia gospodarczego — dyrektor ekonomiczny kombinatu „Bistona" — niejednokrotnie korzystał ze znajomości esperanta, stąd też szczególne znaczenie EUO widzi w wymianie doświadczeń zarówno teoretyków jak i praktyków. W skali światowej podobne formy wymiany dorobku naukowego i kulturalnego poprzez esperanto stosowane są od wielu lat. Szczególną renomą wśród esperantystów cieszy się zwłaszcza Uniwersytet Letni w Liege. Tak więc Esperancki Uniwersytet Otwarty na terenie Polski jest nowością. EUO jako instytucja nadzorowana przez Oddział PZE w Łodzi zrzeszony w Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych w działalności swej uwzględnia również zadania i potrzeby federacji i stowarzyszeń członkowskich. Wśród głównych celów uniwersytetu znajdują się: aplikacja esperanta w kontaktach naukowych, kulturalnych i oświatowych; organizowanie wykładów, odczytów, seminariów, konferencji etc. w języku esperanto; wzbogacanie i doskonalenie terminologii naukowej i fachowej. Warto przypomnieć, że już w 1908 roku zostało utworzone w naszym mieście Towarzystwo Esperantystów. Miłym wieńcem akcentem upamiętnienia 70 rocznicy powstania środowiska esperanckiego w Łodzi będzie inauguracja Esperanckiego Uniwersytetu Otwartego, która nastąpi 8 kwietnia br.

W jej ramach odbędą się dwa wykłady: prof. dr hab. **Bolesława Lewickiego** na temat języka audiowizualnego jako środka porozumienia międzynarodowego oraz doc. dr hab **Mariana Dobrzyńskiego** mówiącego o związkach jakości życia z jakością pracy. Wykłady EUO będą publikowane i przesyłane osobom i organizacjom zainteresowanym. Fragmenty niektórych wystąpień nadawać będzie Polskie Radio w esperanckich audycjach dla zagranicy. Należy oczekiwać, że działalność tej nowej placówki przyczyni się do szerszej wymiany dorobku Polski i zagranicy za pomocą języka przyszłości — jak czasami określa się esperanto.

RPA: UCIECZKA BIAŁYCH

Po raz pierwszy od 17 lat więcej białych opuszcza nękaną trudnościami Republikę Południowej Afryki, niż do niej przybywa; większość uciekinierów kieruje się do Stanów Zjednoczonych. Biali mieszkańcy RPA, rozgoryczeni coraz bardziej wzrastającym napięciem między nimi a czarnymi obywatelami kraju oraz coraz ostrzejszymi środkami, podejmowanymi przez rząd w celu ograniczenia niepokojów murzyńskich, pod koniec 1977 roku opuszczali kraj w liczbie średnio 2.300 osób miesięcznie. Rok wcześniej RPA opuściło 15.641 białych — oznacza to, że ich liczba wzrosła o ponad 100 proc. Liczba imigrantów natomiast w ubiegłym roku wyniosła około 1.100 osób miesięcznie — o 50 proc. mniej, niż rok wcześniej i o połowę za mało, aby — jak przyznają władze — utrzymać na dotychczasowym poziomie rozwój gospodarczy kraju.

Wśród wyjeżdżających, jak informuje „US News and World Report", znaleźli się zarówno sprzedawcy sklepowi, jak i specjaliści wysokiej klasy. W samym 1977 roku emigrowało stąd około 400 lekarzy. Z wywiadów, przeprowadzonych na wydziale handlu na znanym uniwersytecie Witwatersrand, wynika, iż połowa absolwentów ma zamiar wyjechać z kraju. Oficjalne statystyki nie odzwierciedlają jednak prawdziwej skali exodusu. Wielu mieszkańców podaje, iż wyjeżdża na urlop... i nigdy nie wraca. Nawet najbogatsi znaleźli sposoby obejścia obowiązujących tu przepisów, na mocy których z RPA nie wolno wywieźć legalnie więcej niż 34,5 tysiąca dolarów na jedną rodzinę. Południowoafrykański Bank Rezerw Walutowych informował niedawno, iż w 1977 roku z obiegu z kraju „zniknęło" 1,2 miliarda dolarów (ponad 1 miliard randów). Jeden ze znanych handlarzy diamentów twierdzi, iż wielu „wyjeżdżających na wakacje" mieszkańców RPA bierze ze sobą złoto i diamenty, które mają stanowić zabezpieczenie na przyszłość. „Każda kobieta wyjeżdża na wakacje z pierścionkiem z dużym brylantem na palcu — mówi — kiedy jednak wraca, na miejscu szlachetnego kamienia zostało wprawione bezwartościowe szkiełko. Brylant bezpiecznie leży w sejfie w innym kraju..."

Większość emigrantów pragnie osiedlić się w krajach anglojęzycznych: Australii, Nowej Zelandii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Amerykański konsulat działający w Johannesburgu, co tydzień otrzymuje ponad 200 podań o wizy wjazdowe — o 65 proc. więcej niż w 1974 roku. Na pierwszym miejscu wśród wyjeżdżających mieszkańców RPA znajdują się ci, którzy mówią po angielsku — jest ich tu w sumie 1,7 miliona. Kraj opuszczają jednak także Afrykanerzy, mówiący po afrykanersku. Jest ich tu 2,7 miliona. W 1977 roku 7.000 z nich zwróciło się o zezwolenie emigrowania do Francji.

W październiku ub. roku rząd premiera Johna Vorstera przeprowadził czystkę wśród opozycji, zakazując działalności 18 organizacji murzyńskich oraz zatrzymując w areszcie domowym lub aresztując wielu czarnych i białych oponentów. W miesiąc później, w miastach w pobliżu Pretorii, aresztowano ponad 600 Murzynów. Vorster planuje wprowadzenie zmian konstytucyjnych, na mocy których około 2 i pół miliona obywateli RPA — Mulatów i 750 tys. Azjatów, uzyskałoby udział w rządach, jednakże pod ścisłą kontrolą białych. Ta „nowa umowa" nie bierze pod uwagę 19,2 miliona czarnych mieszkańców kraju. Rząd w dalszym ciągu jest zdania, iż powinni oni posiadać prawa obywatelskie i polityczne jedynie na terenie 9 „niezależnych terytoriów", tworzonych z fragmentów RPA. Dwa tego rodzaju twory, które już zostały powołane do życia — Transkei i Bophuthatswana — nie zostały uznane przez inne kraje; przyjęto je jako jeszcze jeden dowód, iż Vorster nie ma zamiaru rezygnować z systemu supremacji białych. Około 9 milionów Afrykańczyków, ignorując całkowicie tworzone dla nich „terytoria", osiedliło się wokół głównych miast RPA i stanowi obecnie — jak powiedział jeden z białych polityków — „jądro wszystkich naszych trudności".

W odpowiedzi na niepokój, szerzący się wśród ludności murzyńskiej, władze wprowadziły jeszcze bardziej drakońskie środki bezpieczeństwa. Część umiarkowanych działaczy politycznych obawia się nawet, iż system ten odsunie od władz nawet tych przywódców afrykańskich, którzy do tej pory byli gotowi do podjęcia dialogu z rządem. W aglomeracjach miejskich, zamieszkałych przez ludność murzyńską, coraz więcej autorytetu zdobywają studenci, nawołujący do zbrojnych akcji.

NARODY PRZECIWKO BOMBIE „N"

W Zachodniej Europie nabiera ogromnego rozmachu ruch protestu przeciwko produkcji bomby neutronowej. Pod naciskiem opinii publicznej liderzy Paktu Północnoatlantyckiego musieli odłożyć spotkanie poświęcone omówieniu decyzji co do nowych broni, jednakże bojownicy o zaprzestanie wyścigu zbrojeń zdają sobie doskonale sprawę, iż walka rzeczników masowej śmierci nie została zakończona.

Aktywizacja zwolenników wyścigu zbrojeń, nacisk jaki wywiera Waszyngton na rządy europejskich krajów należących do NATO świadczą, iż przeciwnicy odprężenia nie zamierzają zrezygnować ze swoich planów produkcji bomby neutronowej i rozmieszczenia jej w arsenałach NATO na europejskim kontynencie.

Odłożenie spotkania krajów należących do NATO wywołało wybuch gniewu gen. Haiga, głównodowodzącego zjednoczonymi siłami zbrojnymi NATO w Zachodniej Europie. Na konferencji prasowej w Waszyngtonie zirytowany generał zażądał, żeby prezydent Carter, nie zważając na wahania sojuszników, sam zadecydował o produkcji broni neutronowej.

Polityka rządu USA, głoszącego z jednej strony o swoim dążeniu do ograniczenia wyścigu zbrojeń, a z drugiej strony przyśpieszającego produkcję nowych rodzajów i systemów broni masowej zagłady stwarza zagrożenie dla bezpieczeństwa całego świata. Kłamstwa Pentagonu o rzekomym „sowieckim zagrożeniu militarnym" są potrzebne administracji do rozkręcania spirali wyścigu zbrojeń i narzucenia narodom na Zachodzie bomby neutronowej. Jednakże teraz, kiedy w NATO zrozumiano iż w obecnej sytuacji — aktywizacji światowego frontu walki przeciwko bombie „N" — trudno będzie narzucić sojuszniczym rządom na Zachodzie bombę neutronową, wysunięto tezę, iż Amerykanie powinni potrząsać nią jako atutem na rozmowach ze Związkiem Radzieckim. Właśnie w kwietniu szef wojskowo-politycznego wydziału Departamentu Stanu, Lesly Helb (po decyzjach podjętych już na zamkniętym posiedzeniu Rady Nato w lutym br. — rad), przedłożył Zachodniej Europie ostatni pomysł Waszyngtonu: „Przystąpić do produkcji bomby neutronowej i zaproponować stronie radzieckiej „wymianę" jej na jakąkolwiek istotną broń lub na określoną redukcję sił zbrojnych w Zachodniej Europie". W NATO nie ukrywa się celu takiej propozycji. Wysuwa się ją licząc na to, iż Związek Radziecki na pewno ją odrzuci jako nie do przyjęcia. I kiedy produkcja bomby neutronowej osiągnie już znaczny poziom, rządy krajów Zachodniej Europy będą musiały w końcu spuścić z tonu i wyrazić zgodę na rozmieszczenie jej na swoich terytorjach. A więc karta przetargowa w rozmowach ze Związkiem Radzieckim — manewr z góry skazany na fiasko.

Rządy zachodnie na czele ze Stanami Zjednoczonymi rozkręcają wojnę psychologiczną przeciwko krajom socjalistycznym. Sterują nią koła, inspirowane i kierowane przez kompleksy wojskow-przemysłowe USA i NATO. Komentatorzy polityczni uważają te manewry Zachodu za swego rodzaju uchylenie klapy bezpieczeństwa, przez którą trzeba wypuścić parę z przeciążonego kotła wewnątrzpolitycznych problemów związanych z ogólnym kryzysem kapitalizmu. Celom wspomnianej gry psychologicznej służył też spektakl u wybrzeży stanu Georgia (USA), który był demonstracją wojskowej potęgi morskiej Stanów Zjednoczonych. Wziął w nim udział prezydent Carter, co wielce uradowało rzeczników zimnej wojny i „twardego kursu" wobec Związku Radzieckiego. Przejażdżka prezydenta na pokładzie atomowego lotniskowca „Eisenhower" miała na celu podkreślenie znaczenia wojowniczego przemówienia wygłoszonego wcześniej w jednym z uniwersytetów w stanie Północna Karolina. Na reakcyjnym południu kraju najłatwiej było rozdmuchać banalny mit o tzw. sowieckim zagrożeniu wojskowym, wykorzystywany przez prezydenta Cartera jako hasło dla zamaskowania nieograniczonych wydatków na rozbudowę amerykańskiej machiny wojskowej. W mowie prezydenta Cartera dźwięczały ustępstwa wobec sił ultraprawicowych i amerykańskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego. Jednakże wystąpienie prezydenta, jak podkreśla część prasy amerykańskiej, nie odpowiada oczekiwaniom narodu amerykańskiego: oczekiwaniu na dalsze międzynarodowe odprężenie, na kontynuowanie rozmów z ZSRR i na redukcję wydatków na zbrojenia.

Komentator nowojorskiego „Daily World" pisze: „W mowie Cartera, rozreklamowanej jako ważne wystąpienie w sprawach obrony i bezpieczeństwa narodowego, rysuje się kurs polityki, który może przynieść tylko szkody bezpieczeństwu USA. Zamiast pogróżek i przestróg kierowanych pod adresem Związku Radzieckiego, rząd USA powinien raczej odpowiedzieć na liczne radzieckie inicjatywy pokojowe".

Tymczasem na całym świecie lawinowo narasta fala protestów przeciwko produkcji bomby neutronowej. 18 marca odbyło się w Amsterdamie międzynarodowe spotkanie przeciwników produkcji bomby neutronowej. Pokazało ono, że na całym świecie coraz mocniej rozbrzmiewa głos opinii międzynarodowej, bez względu na poglądy polityczne, żądający zaniechania obłędnych planów Pentagonu. Spotkanie w Amsterdamie świadczy, iż coraz większe poparcie na świecie zyskuje pokojowa polityka Związku Radzieckiego, zabiegającego o zapewnienie bezpieczeństwa i prawa do życia dzisiejszemu i przyszłym pokoleniom.

Międzynarodowe spotkanie przeciwników produkcji bomby neutronowej było jednym z najbardziej doniosłych wystąpień społeczności wielu krajów przeciwko produkcji tej strasznej broni masowej zagłady. Prasa światowa, nawet ta niechętna temu ruchowi, podkreśla charakter masowości spotkania w Amsterdamie. Zwraca uwagę bardzo aktywna rola Kościoła holenderskiego w organizowaniu walki przeciwko broni neutronowej i rozmieszczeniu jej na terytorium Zachodniej Europy. Kościół w Holandii wywiera duży wpływ na politykę i tutaj jego głos ma wielką wagę. Wystąpienia przedstawicieli Kościoła na tym międzynarodowym forum walki o prawo do życia należały do rzędu tych, które na długo pozostają w pamięci. Należy podkreślić, iż dwie trzecie członków Stanów Generalnych Holandii (parlamentu — red.) wypowiedziało się przeciwko produkcji bomby neutronowej i rozmieszczeniu jej na terytorium kraju. Za produkcją tej bomby i umieszczeniem jej w arsenałach NATO w Holandii opowiedzieli się tylko pronatowscy liberałowie.

Występując na forum spotkania w Amsterdamie, członek Stanów Generalnych, F. Wolf, podkreślił, że „nikt (mając na uwadze rząd Holandii i rządy innych państw zachodnioeuropejskich należących do NATO) nie ma moralnego prawa, żeby w ślad za prezydentem USA podjąć decyzję o produkcji i rozmieszczeniu w Zachodniej Europie broni neutronowej". F. Wolf podkreślił również, że „neutronowa strategia Pentagonu jest prowokacją przeciwko porozumieniom w Helsinkach i że próby użycia bomby neutronowej jako narzędzia szantażu wobec Związku Radzieckiego są z góry skazane na niepowodzenie; dowiodła tego historia". Uczestnicy spotkania w Amsterdamie, w imieniu milionów ludzi w Europie i w Ameryce, wezwali rządy wszystkich państw do przeciwstawienia się produkcji broni neutronowej i rozmieszczenia jej w arsenałach NATO w Zachodniej Europie.

Potężny ruch protestu przeciwko produkcji bomby neutronowej ogarnął także Belgię. Rząd w Brukseli gra na zwłokę w obawie, iż podjęcie decyzji w sprawie bomby neutronowej może doprowadzić do rozbicia rządzącej koalicji. Socjaliści wypowiedzieli się przeciwko produkcji bomby neutronowej, a silna opozycja przeciwko tej broni istnieje także w łonie chrześcijańskiej demokracji ruchu młodzieżowego oraz w związkach zawodowych. W tej sytuacji minister spraw zagranicznych, Henri Simonet, oświadczył, iż rząd nie uznał za możliwe wypowiedzieć się ostatecznie w sprawie produkcji bomby neutronowej i poszukuje nadal alternatywnych formuł.

Holandia, Dania, Francja, Portugalia i Norwegia odpowiedziały: nie! na plany ulokowania w arsenałach NATO na terytorium Zachodniej Europy broni neutronowej i związanego z tym faktem rozkręcania nowej spirali zbrojeń. Teraz oczekuje się, żeby rozmieszczeniu broni neutronowej na swoim terytorium sprzeciwiła się RFN.

Przeciwników bomby neutronowej oburzają w szczególności plany użycia jej jako „broni taktycznej". Wśród przeciwników broni neutronowej na Zachodzie panuje powszechna opinia, iż „byłoby głupotą sądzić, że jedna strona może użyć jakąkolwiek broń jądrową w warunkach konfliktu na poziomie konwencjonalnym, a druga nie odpowie na to swoją bronią jądrową. Bomba neutronowa nie jest zatem, bynajmniej, środkiem odstraszania. Wprost przeciwnie — może się ona stać środkiem eskalacji konwencjonalnego konfliktu w konflikt jądrowy".

JERZY CZECH

DEMOGRAFICZNY OBRAZ ZIEMI

Według danych dopiero co opublikowanego Rocznika Demograficznego ONZ za 1976 rok, liczba ludzi zamieszkujących kulę ziemską osiągnęła w połowie 1976 roku 4 miliardy 44 miliony. W przeciągu jednego roku wzrosła ona o 77 mln ludzi. Jeśli poziom rocznego przyrostu ludności — 1,9 proc. — utrzyma się nadal, to liczba mieszkańców Ziemi podwoi się w przeciągu 37 lat, to jest do 2013 roku.

Azję zamieszkuje 2.304 mln ludzi, co stanowi ponad połowę (57 proc.) mieszkańców Ziemi, Europę — 476 mln ludzi, Amerykę Łacińską — 333 mln (8,2 proc.), Związek Radziecki — 258 mln (6,4 proc. ZSRR jest wyodrębniony ponieważ jego terytorium leży zarówno w Europie, jak i w Azji — red.), Amerykę Północną — 239 mln (5,9 proc.) i Oceanię — 21,7 mln ludzi (0,5 proc.). W porównaniu z innymi rejonami świata najszybszy przyrost ludności notuje się w Afryce. W 37 spośród 43 krajów lub rejonów Afryki, o których istnieją dane, poziom przyrostu ludności wynosi, lub przewyższa, 2 proc., a w 9 spośród nich — 3 proc., a nawet więcej. W 30 krajach, bądź rejonach Azji poziom przyrostu ludności także wynosi, lub przewyższa, 2 proc., a w 15 spośród nich — 3 proc. i więcej. W przeciwieństwie do tego w Europie, w 27 krajach lub rejonach, spośród 36, przyrost ludności wynosi mniej niż 1 proc. W trzech spośród nich liczba ludności zmniejszyła się.

Osiem spośród dziesięciu najwyższych wskaźników urodzeń w świecie zanotowano w Afryce. Wśród krajów i rejonów z ludnością powyżej 200 tysięcy najwyższy poziom urodzeń zanotowano w Nigerii i Zambii (52 urodzenia na 1.000 mieszkańców), w Malawi i Togo (51 urodzeń), w Mali, Ruandzie, Beninie, Liberii oraz w Jemeńskiej Republice Arabskiej i Ludowo-Demokratycznej Republice Jemenu (50 urodzeń na 1.000 mieszkańców). W Republice Federalnej Niemiec zanotowano najniższy poziom urodzeń (9,8). Za nią idą: Szwecja (11,9), Anglia (12,1), Belgia (12,2), Szwajcaria (12,3), Holandia (12,9), Norwegia i Finlandia (14,1 na 1.000 mieszkańców).

Przewidywana średnia długość życia dla kobiet jest najwyższa w Norwegii — 77,83 lat. Na Szwecję przypada najdłuższa średnia życia dla mężczyzn — 72,02 lata. W większości krajów i rejonów Afryki średnia długość życia nie przewyższa 50 lat. W 21 krajach waha się ona w granicach od ok. 40 do ok. 49 lat życia.

WOJSKOWY BUDŻET JAPONII

Przewodniczący Rady Wykonawczej rządzącej Japońskiej Partii Liberalno-Demokratycznej, J. Nakasone, na seminarium swojej partii powiedział m.in., iż Japonia „powinna wziąć kurs na umocnienie i modernizację swoich sił samoobrony". Tymczasem wydatki na cele wojskowe w nowym budżecie rządowym i tak już osiągnęły rekordowy poziom — 1,9 tryliona jenów. Jednocześnie parlament wyraził zgodę na zwiększenie liczebności sił zbrojnych oraz na zakupienie nowych samolotów, okrętów i systemów broni. Tokijska gazeta „Asachi" poinformowała, iż japońska marynarka wojenna zamierza wprowadzić do swego arsenału lotniskowiec i atomową łódź podwodną. Przedstawiciele USA na niedawnej amerykańsko-japońskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa (w Honolulu) wezwali rząd japoński do dalszego umacniania sił zbrojnych Japonii.

(C.)

SŁOWA WIELKIEJ WAGI
PODRÓŻ „BEZ SENSU"

Probierzem dobrej woli i gotowości ciągłego posuwania się po drodze odprężenia jest teraz stosunek do zagadnienia rozbrojenia. I to nie deklaratywny, lecz rzeczywisty. Dlatego **z najwyższą uwagą opinia odnotowała przemówienie Leonida Breżniewa z końca ub. tygodnia**, wygłoszona na pokładzie krążownika „Admirał Sieniawin". Zgodnie zauważa się, że było ono adresowane wprost do Stanów Zjednoczonych, które w całym problemie rozbrojeniowym wykazują wiele niekonsekwencji.

Łatwo to udowodnić, jeśli zderzy się słowa z postępowaniem, choćby z ostatniego okresu: z dalszym odłożeniem decyzji przez prez. Cartera w sprawie broni neutronowej (mimo iż świat w licznych protestach przeciw niej występuje), czy też ze zwlekaniem w rokowaniach SALT II.

L. Breżniew we wspomnianym przemówieniu raz jeszcze podkreślił, że **obecnie nie ma ważniejszego zadania niż powstrzymanie wyścigu zbrojeń i zapewnienie stopniowego ich zmniejszania.** Ryzyko jest po prostu zbyt duże, a stawka zbyt wysoka.

Niestety, sytuacja rozwija się w tej dziedzinie nadal niepomyślnie tzn. nie tylko nie widać w rozbrojeniu postępu, ale nawet próbuje się uruchamiać produkcję nowych rodzajów broni. Czasem szermując urojonymi niebezpieczeństwami, jakie rzekomo miałyby zagrażać ze strony ZSRR. W rzeczywistości **do odprężenia militarnego nie chcą dopuścić przedstawiciele amerykańskiego kompleksu przemysłowo-zbrojeniowego**, a administracja waszyngtońska przejawia brak zdecydowania.

Przed trzema laty we Władywostoku przyjęto zasadnicze elementy nowego porozumienia na temat ograniczenia broni strategicznych. Niestety, nie tylko przed wygaśnięciem poprzedniego, ale do dziś nie udało się wynegocjować nowego. Rzutuje to negatywnie na sytuację.

ZSRR przejawiał i przejawia żywe zainteresowanie sfinalizowaniem rozmów. Może to jednak stać się tylko na zasadach równego bezpieczeństwa, i niedyktowania warunków układu, a nie prób zapewnienia sobie jednostronnej przewagi. A takie wrażenie stwarza postawa USA w rokowaniach. **Czas ucieka i przynosi nowe zbrojeniowe fakty.** Nie jest więc bez znaczenia także **kiedy** porozumienie zostanie zawarte.

Sekretarz generalny KC KPZR raz jeszcze potwierdził **zdecydowanie swego kraju podążania drogą prowadzącą do szybkiego zahamowania wyścigu zbrojeń, pomniejszania arsenałów i w konsekwencji wyłączenia z zagrożeń wojny nuklearnej.** Teraz przede wszystkim na tym froncie decyduje się problem niezmiernie ważny — jak kształtować będzie się nadal sytuacja międzynarodowa.

Agencje, omawiając obszernie przemówienie L. Breżniewa, **zwracają też uwagę na zapowiedź rychłej wizyty sekretarza stanu — C. Vance w Moskwie** i jego rozmowy z min. A. Gromyko, które, nie ulega wątpliwości, dotyczyć będą przede wszystkim problematyki rozbrojeniowej.

I skoro już o zapowiedziach wizyt mowa...

W RFN oczekuje się z dużym zainteresowaniem wizyty L. Breżniewa, co najprawdopodobniej będzie miało miejsce w maju. Przeważa opinia, że z tematyki międzynarodowej w rozmowach wysunie się na plan pierwszy właśnie rozbrojenie.

* * *

Z innych licznych tematów tygodnia wybierzmy jeszcze jeden: **echa drugiej podróży prez. Cartera**, której trasa tym razem prowadziła do dwóch krajów Ameryki Łacińskiej (Wenezueli i Brazylii) oraz dwóch krajów Afryki zachodniej (Nigerii i Liberii). Masowe środki przekazu w Stanach Zjednoczonych komentują, że podróż ta nie miała większego sensu. W istocie można wyróżnić dwa jej etapy: amerykański, który rzeczywiście pozbawiony był większych treści politycznych i nie wniósł żadnych nowych elementów, a jeśli — to negatywny dla Waszyngtonu: pewnego oziębienia stosunków z Brazylią oraz afrykański, który miał udowodnić amerykańskie zainteresowanie czarną Afryką i objaśnić politykę USA wobec tego rejonu. Ale i tego celu podróż nie spełniła. Dlatego też ocenia się w Waszyngtonie, że **dla prezydenta będzie po prostu najlepiej, jeśli uzna się ją za niewielkie wydarzenie i szybko o niej zapomni.**

I jeszcze jedna uwaga: niektórzy komentatorzy czynią zarzut Carterowi, że wybrał się w podróż wówczas, kiedy na porządku dnia są tak wielkie sprawy, jak kształt stosunków ze Związkiem Radzieckim i przyszłość procesu rozbrojenia.

W. SŁAWSKI

PROLOG

Do rozpoczęcia Mistrzostw Świata w piłce nożnej w Argentynie pozostało 48 dni, ale można zaryzykować twierdzenie, że prolog Mundialu 78 już się rozpoczął. Finaliści rozgrywają kolejne spotkania, wygrywając je lub przegrywając, demonstrując swą aktualną formę lub ją skrzętnie ukrywając. Piłkarskie manewry w całej pełni.

Na manewrach sprawdza się różne elementy wojennego działania walcząc z pozorowanym przeciwnikiem. Wszyscy dobrze wiedzą, że na wojnie może wszystko wypaść zupełnie inaczej, ale bez takich sprawdzianów dowódcy czują się dużo gorzej i mniej pewnie, a i wojsku też takich ćwiczeń brakuje. Coś podobnego można obserwować w trwających, a właściwie dobiegających końca, piłkarskich manewrach. Przeciwnik tu wprawdzie prawdziwy i chce zwyciężyć, ale finaliście zależy na sprawdzeniu różnych elementów gry, nie pokazując jednocześnie wszystkiego, co szykuje na najważniejsze już mecze.

Nie przypadkiem po porażce w Hamburgu Helmut Schoen był zadowolony, a trener Brazylijczyków — Claudio Coutinho przerażony. On to powiedział, że „w Hamburgu więcej mogą nauczyć się pokonani niż zwycięzcy". I miał rację. „Stary lis" — Helmut Schoen byłby bardzo nierozsądny, gdyby chciał już w Hamburgu pokazać, co szykuje na Argentynę. Manewry mają to do siebie, że są udawaniem wojny. W piłce nożnej też. Ciż sami Brazylijczycy przegrali poprzednio z Francuzami, a w Rio de Janeiro żądano głowy Claudio Coutinho. Zwycięstwo w Hamburgu uspokoi krytyków w Brazylii, ale nic z tego jeszcze nie wynika. Brazylijczycy zresztą spotkają się z dwoma silnymi klubami europejskimi: Atletico Madryt i Inter Mediolan i kto wie, czy nie jest to metoda. Sprawdzać drużynę nie tylko w meczach z reprezentacjami innych państw, ale z silnymi drużynami klubowymi. Brazylijczycy wybierają się też do Anglii.

Co wynika ze zwycięstwa zespołu meksykańskiego nad drużyną Bułgarii? Tylko jedno. Nasi optymiści, którzy uważali, że możemy bać się jedynie zespołu RFN muszą zmienić zdanie. Jedenastka Meksyku nie ma zamiaru dostarczać punktów swoim partnerom, ma zamiar walczyć o zwycięstwo. Nie będzie to łatwy przeciwnik. A i Tunezji — choć uległa wysoko Holendrom — lekceważyć nie wolno. Optymiści po tych piłkarskich manewrach doszli do wniosku, że im bliżej Mundialu, tym mniej znaków zapytania. Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie. W moim przekonaniu jest ich tyle samo, albo nawet i więcej.

Naszych piłkarzy czekają jeszcze mecze z Irlandią, Bułgarią i nie wiadomo jeszcze z kim. Dwa międzynarodowe sprawdziany piłkarze polscy mają już za sobą. Ale z tego też jeszcze nic nie wynika. Poza jednym, że Jacek Gmoch stawia przed polskim zespołem coraz trudniejsze zadania. I to też jest jakaś metoda. Dopiero w czerwcu dowiemy się, na ile skuteczna i kto wybrał lepszy sposób przygotowywania się do argentyńskich spotkań.

Jak do tej pory wszyscy są zgodni co do jednego: w Luksemburgu Polacy grali dobrze 20 minut, w Poznaniu — 45. Jak zagrają w Łodzi z Irlandczykami, to dla mnie i dla wszystkich jeszcze zagadka. Miejmy nadzieję, że przez 90 minut dobrze. Irlandczycy będą niewątpliwie przeciwnikiem trudniejszym niż byli nim w Poznaniu Grecy, choć usiłowano ich przedstawiać jako bardzo groźny zespół.

Manewry piłkarskie trwają, więc i żaden trener nie chce pokazać wszystkiego przeciwnikowi, bo każdy mecz jest pilnie obserwowany, rejestrowany i analizowany. Manewry trwają, więc i wszelkie oceny i wypowiedzi traktowałbym z rezerwą. Komplementy pod adresem naszego zespołu również. Nie bądźmy naiwni i nie traktujmy poważnie wszelkich pochwał. Szukajmy raczej dziury w całym niż mielibyśmy potem drzeć szaty nad tym, że daliśmy się wziąć na słodki lep słów.

Co wynika z wygranej Polaków z Grekami? Zgodna opinia komentatorów, że nie ma polskiej reprezentacji bez Kazimierza Deyny, Grzegorza Lato i Andrzeja Szarmacha o niczym jeszcze nie świadczy, poza tym, że nie na wiele posunęliśmy się w rozwoju piłki nożnej od roku 1974. Potwierdza tu się tylko nędza naszej ligi piłkarskiej, bo to w końcu w ligowych zespołach przygotowują się „dublerzy". Iluż to już piłkarzy kandydowało do reprezentacji było „rewelacjami" i słuch o nich zaginął. Jacek Gmoch stanowczo nie ma łatwego życia.

W Poznaniu Gmoch osiągnął jedno. Osłabiając atak polskiego zespołu wystawił na uderzenia defensywę i okazało się, że nie jest ona jeszcze najlepsza. Byliśmy naiwni, gdybyśmy tego nie dostrzegli i gdybyśmy sądzili, że nie widzieli tego obserwatorzy z obozu naszych rywali. Zobaczymy jakie braki odsłoni mecz w Łodzi.

Prolog Mistrzostw Świata dobiega końca. Teraz poszczególne zespoły będą doskonaliły formę, usuwały ujawnione braki i niedociągnięcia. Do czerwca wydaje się, że jest sporo czasu, ale czy wszystkim go wystarczy? Zobaczymy.

BOGDA MADEJ

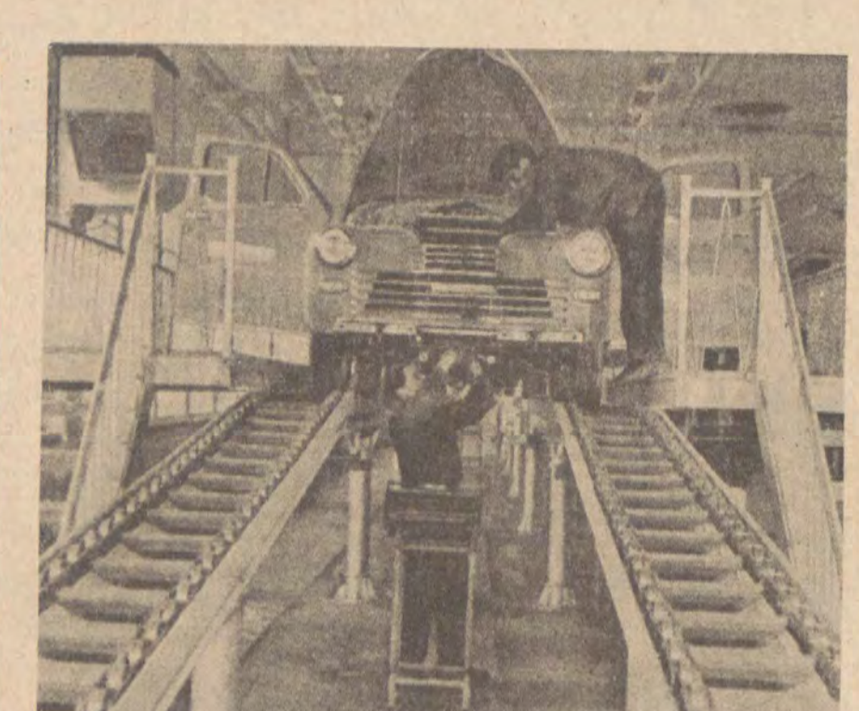

Foto: Archiwum

EUGENIUSZ IWANICKI

MOTORYZACYJNY KONTREDANS

O usługach motoryzacyjnych można w nieskończoność. Każdy, kto posiadał lub posiada samochód, zna meandry tej przysłowiowej drogi przez mękę, jaką stanowią kontakty użytkownika ze stacjami obsługi samochodów. Złudzenia są jedynie udziałem tych, którzy planują kupno samochodu. Mogą sobie pomarzyć o urokach jazdy bezawaryjnej, o imponowaniu sąsiadom, wreszcie o bezspornym ułatwieniu życia w czasie urlopu. Rzeczywistość jednak bywa bezwzględna. Dziś, chcąc na kimś się zemścić, życzy mu się, aby jak najczęściej korzystał z usług PP „Polmozbyt".

Zabawa zaczyna się od momentu otrzymania telegramu, zawiadamiającego, że już jutro należy zgłosić się po odbiór tak długo wyczekiwanego samochodu. A więc raniutko, grubo przed godziną ósmą rano trzeba stanąć na przykład przed „Polmozbytem" przy ul. Brukowej w Łodzi, by w odpowiednim czasie otrzymać przepustkę upoważniającą do wejścia na teren instytucji, która ma wydać upragniony samochód. Szczęście jednak trwa krótko: ogromna, kilometrowa kolejka ustawiła się już przed urzędnikiem wydającym następną przepustkę — pozwalającą wejść na plac, gdzie stoją samochody. W tej kolejce odbiorca samochodu otrzymuje pierwszą lekcję cierpliwości. Po dwóch, czasem trwa to dłużej — godzinach przepustka jest. Teraz szybko do następnej kolejki, w której trzeba czekać na mechanika, aż przyjdzie i zaprowadzi nas na plac. Wreszcie, koło południa jesteśmy wśród przygotowanych do odbioru samochodów. Brać panowie! — wołają mechanicy. — Do wyboru, do koloru! Jest to stary, wypróbowany żart. Samochodów nie jest wiele i wszystkie w jednym kolorze.

O powyższym opowiadał mi jeden z dziennikarzy, który w końcu grudnia ub. roku z ulicy Brukowej odbierał „malucha". Także marzył o jasnym kolorze, ostatecznie wziąłby szary, ale były jedynie błękitne. Więc wziął, co było. Po południu wyjechał poza bramę firmy „Polmozbyt". W sumie stracił cały dzień. Czy on jeden? Codziennie w kraju tysiące ludzi marnuje bezcenne godziny w niepotrzebnych kolejkach po przepustki. Czy ktoś obliczył, jaka to strata?

Wiadomo: nowy samochód — nowe kłopoty. Rzecz byłaby banalna, gdyby zakupiony samochód jeździł bezawaryjnie. Jest to rzadkość, choć czasami się ponoć zdarza. A jeśli już się zdarzyła, to okresowe przeglądy gwarancyjne mogą także napsuć niemało krwi. Jeśli któraś ze stacji obsługi wyznaczy termin przeglądu, to z reguły samochód odstawia się na parę dni. A więc zamiast jeździć — stoi na placu w kolejce, aż mechanicy sprawdzą, czy wszystko jest tak, jak być powinno. Załóżmy jednak, że właściciel samochodu szczęśliwie jeździł przez cały rok, gwarancja uległa przedawnieniu i raptem — trach! — coś nawaliło. I tu zaczyna się prawdziwy odcinek przysłowiowej drogi przez mękę.

Wyobraźmy sobie, że jest noc i pękł przegub homokinetyczny w „Syrenie". Jechać dalej nie można, pchać także jest trudno. Do domu dość daleko, a do tego jest zima i mróz bierze coraz większy. Jedyny ratunek w pomocy drogowej, bo takie usługi świadczy PP „Polmozbyt". Wybrałem taki przykład, bowiem akurat byłem świadkiem podobnego zdarzenia. Właściciel „Syreny 105", ob. H. M. o godzinie 23,10 dnia 7 lutego wezwał pomoc drogową „Polmozbytu" na ulicę Limanowskiego, róg Białej. Pękł wspomniany przewód homokinetyczny. Po północy przybył samochód „Polmozbytu" wziął „Syrenkę" na sztywny hol (choć w tym przypadku powinien być raczej wózek) i odstawił uszkodzony samochód do stacji obsługi samochodów PZMot. przy ul. Zgierskiej 108. Żadnych innych czynności pracownik „Polmozbytu" przy „Syrenie" nie wykonywał. Jednakże rachunek, jaki wystawił, był dość niezwykły: 287 złotych (za drogę policzył po 12 zł za każdy kilometr, a kilometrów wpisał aż 16(!) oraz 95 złotych za jedną roboczogodzinę). Oczywiście, można byłoby się sprzeczać, czy odległość z ulicy Targowej, gdzie mieści się pomoc drogowa „Polmozbytu" na ulicę Zgierską i z powrotem wynosi 16 km oraz czy czas zakładania holu i holowania przekroczył jedną godzinę.

Ob. H.M. odwołał się do dyrekcji „Polmozbytu" kwestionując wysokość rachunku i żądając ponownych obliczeń, tym bardziej że naprawa samochodu (wraz z kosztem nowego przegubu i innych materiałów) wyniosła zaledwie 642 zł (robocizna 67 zł).

Odpowiedź PP „Polmozbyt" — Stacja Kontroli Samochodów była jednoznaczna, nie uznano skargi ob. H.M. twierdząc, że zarówno sporne 16 km jak i wysokość opłaty za każdy przejechany kilometr są zgodne z Instrukcją Pogotowia Technicznego. Przyznano natomiast, że kierowca istotnie pobrał o 20 zł za dużo za czynności „manipulacyjne".

Istotnie, owe 20 zł nadeszły na adres do H.M. Niestety, nie zwrócono natomiast rachunków, jakie zostały przez w/wym. załączone do jego odwołania (rachunek wystawiony przez kierowcę pomocy drogowej oraz rachunek ze stacji naprawy samochodów). Tak więc ob. H.M. został pozbawiony jakichkolwiek dowodów na to, że w ogóle korzystał z pomocy drogowej „Polmozbytu". Przypadek? Przeoczenie?

Skoro już jesteśmy przy usługach, to chciałbym wspomnieć o sprawie, która nie jest nowa i być może nasi Czytelnicy coś niecoś o niej słyszeli. Chodzi mianowicie o przyczepę samochodową, którą ob. I.S. nabył w roku ubiegłym, a która to przyczepa od razu musiała być przekazana do naprawy gwarancyjnej. W swoim liście, nie pierwszym zresztą, do PP „Polmozbyt" w Łodzi obywatel I.S. pisze:

„Zgodnie z Waszym pismem z dnia 20 lutego 1978 roku, znak UR 7-664-523/77, wzywającym mnie do odebrania reklamowanej i rzekomo naprawionej przyczepy campingowej komunikuję, że w dniu 22 lutego br. pojechałem do ASOS nr 18 w Brzezinach celem odebrania przyczepy. Ucieszyłem się przy tym, że wreszcie, po półrocznej naprawie wykonywanej przez „Polmozbyt" łódzki przyczepa ta została skutecznie naprawiona. Radość moja okazała się jednak przedwczesna i stała się radością dziecka.

Okazuje się bowiem, że przyczepy nie naprawiono mimo upływu pół roku od chwili oddania jej „Polmozbytowi" do naprawy w ramach reklamacyjnej gwarancji i rękojmi. Wszystkie pisemnie zapewnienia, że przyczepa jest naprawiona okazały się i tym razem zwyczajnym kłamstwem „Polmozbytu" łódzkiego".

Z listu wynika, że łódzki „Polmozbyt" już w grudniu ub. r. zawiadomił ob. I.S. o tym, że przyczepa została naprawiona i że na tę okoliczność otrzymano nawet opinię rzeczoznawców z PZMot. Oczywiście, było to zwyczajne mydlenie oczu, bowiem nie dokonuje się żadnych ekspertyz bez udziału obu zainteresowanych stron. A jak pamiętamy, ob. I.S. nie był wzywany do udziału w specjalistycznej ocenie swojej przyczepy.

Ktoś mógłby zapytać, po co ekspertyza rzeczoznawców przy naprawie zwyczajnej przyczepy? Otóż w tym przypadku właśnie takie postępowanie ma niebagatelne znaczenie. Ob. I.S., nie wierząc PP „Polmozbyt" w Łodzi, na własne zlecenie poprosił o ekspertyzę biegłego sądowego do spraw techniki pojazdów samochodowych i ruchu drogowego przy Sądzie Wojewódzkim w Piotrkowie Trybunalskim. Z oficjalnego orzeczenia wynika, że przyczepa campingowa marki „Niewiadów", typu N-126, nr podwozia 4928, wyprodukowana w 1977 roku, posiada następujące usterki: nadbudowa przyczepy umocowana nieprawidłowo, ze spadkiem w kierunku prawej strony, a przeprowadzona próbna jazda przy szybkości 60—70 km/h na drodze prostej, o nawierzchni równej, asfaltowej — suchej wykazała, że w czasie ruchu przyczepa znosi w kierunku prawym. Prowadzenie samochodu jest utrudnione, jazda zagraża bezpieczeństwu. Ponadto polewa lakiernicza przyczepy ma ślady wytarcia na całej długości prawego boku, górna pokrywa dachu jest nie uszczelniona, gumowe uszczelki odklejone, kuchenka gazowa nieczynna, przewód paliwowy gazu popękany, uszczelka gumowa pojemnika na butlę gazu odklejona, popękana, górne obrzeże drzwi nosi ślady poprzecznego pęknięcia, wewnętrzna obudowa przyczepy (stolarka) wykonana została niedbale, poszczególne elementy niedokładnie przylegają na złączach i krawędziach.

A PP „Polmozbyt" w Łodzi wzywa ob. I.S., aby odebrał swoją naprawioną sumiennie w ASOS nr 18 w Brzezinach przyczepę.

Nie wnikając w długotrwałe korowody, jakie musiał przejść właściciel niefortunnej przyczepy, stanowisko łódzkiego „Polmozbytu" jest co najmniej dziwne. Dokonana przez biegłego sądowego ekspertyza nie pozostawia wątpliwości — przeczepa nie nadaje się do eksploatacji. Ale nie redakcja ma podpowiadać, co w takiej sytuacji należy zrobić i jak winno postąpić PP „Polmozbyt".

Cechą Polaków jest narzekanie, ale w przypadku usług motoryzacyjnych jakże często narzekania te są słuszne. Wystarczy pobyć w jakimkolwiek „biurze obsługi klientów" w stacjach obsługi samochodów, posłuchać co ludzie mówią, jaką mają opinię o wykonanych usługach, jak denerwuje ich wielogodzinne czekanie, jak odjeżdżają „nie załatwieni", bo akurat nie ma części zamiennych (konia z rzędem temu, kto znajdzie w Łodzi komplet przerywaczy — kowadełka i młoteczki — do „Syreny 105").

Prawda, są stacje obsługi, gdzie przyjeżdżający nie jest intruzem i gdzie szybko i w miarę możności zostaje obsłużony.

Pisząc niniejszy artykuł, przeprowadziłem w stacjach obsługi wiele rozmów z właścicielami pojazdów samochodowych. Także sam jeżdżę „Syreną", ten typ samochodów interesował mnie najbardziej. Najczęściej chwalono ASOS nr 6, mieszczącą się przy ul. Piotra Skargi 12. Mówiono, że trzeba nieraz długo czekać, ale jak już się wjedzie na kanał, to wiadomo, że mechanicy zrobią dobrze i nie trzeba po nich poprawiać. Mój znajomy od którego w prywatnym warsztacie rzemieślniczym za wymianę wału korbowego w „Syrenie" zażądano 1800 złotych, a w ASOS nr 6 tę samą czynność wykonano za 800 zł, nie ma słów uznania. A do tego zrobiono to szybko, w ciągu jednego dnia. Ten sam człowiek rok temu miał zmieniane w swoim samochodzie nadwozie (robiono tzw. przesypkę) w ASOS nr 4 przy ul. Wigury i po odbiorze samochodu natychmiast musiał pojechać do pierwszego z brzegu warsztatu, by dokonać poprawek po „usługach", za które zapłacił ponad 70 tysięcy złotych.

Samochodów przybywa codziennie i to sporo. Ciasno staje się na naszych ulicach, wszystkie wolne miejsca między blokami są zajęte na parkingi, niektórzy garażują nawet na poboczach ruchliwych arterii. Jednak usługi nie nadążają za tym gwałtownym rozwojem motoryzacji. Ciągle mamy za mało stacji obsługi wyposażonych w nowoczesną aparaturę, brakuje stanowisk roboczych, podnośników, nawet myjni. W kontekście tych trudności nasuwa się bardziej ogólna refleksja: za rok, dwa problem naprawy samochodów stanie się jeszcze trudniejszy. Można sądzić, że na wymianę na przykład tulei w kole trzeba będzie czekać parę tygodni. Tu wina nie leży w samych stacjach obsługi, ale w ich ograniczonych możliwościach. Warsztaty prywatne — to zupełnie inne zagadnienie, tak samo jak ceny części do samochodów sprzedawane w prywatnych sklepach motoryzacyjnych. A skoro jesteśmy już przy częściach, warto może wspomnieć, że wycofanie niektórych asortymentów ze sklepów niewiele ułatwiło. Jeśli nawet było to podyktowane okolicznością, że nie każdy właściciel samochodu potrafi sam wymienić wał korbowy czy tryby skrzyni biegów, a powinna to wykonać któraś ze stacji autoryzowanych, to wycofanie przegubów (homokinetycznych, krzyżakowych) oraz innych pomniejszych akcesoriów przyczyniło się w niemałym stopniu do tego potwornego tłoku, jaki panuje przed każdą stacją obsługi samochodów. Ale często ludzie nie chcą czekać w kolejkach i kupują potrzebną rzecz w sklepie prywatnym, gdzie jej cena jest niewspółmiernie wyższa od tej, jaka obowiązuje w polmozbytowskiej stacji obsługi.

W niniejszym artykule chcę poruszyć jeszcze jedną sprawę, związaną z motoryzacją, mianowicie sprawę akumulatorów. Nie tak dawno, w „Magazynie Motoryzacyjnym" TV odpowiedzialny pracownik zakładów „Centra" demonstrował nowiutki akumulator w plastikowej obudowie. Z tego, co mówił, wynika, że jest to rewelacyjny wynalazek, który raz na zawsze rozwiąże kłopoty przynajmniej z jednym z ogniw tzw. zasilania. Otóż chciałbym zapytać owego pana, jak jemu służy plastikowy akumulator i czy ma takowy zainstalowany w swoim samochodzie, i czy ten samochód w zimie garażuje pod przysłowiową „chmurką". Sam bowiem mam bardzo smutne doświadczenie z takimi akumulatorami: w ciągu dwóch lat wymieniłem ich dwa, w końcu udało mi się otrzymać stary z „Warszawy", ebonitowy, który w przeciwieństwie do plastikowych można poddać całkowitej regeneracji. Po prostu, kiedy nie pomagają częste ładowania i zmiana elektrolitu, można wymienić płytki i mamy nowy akumulator. Niestety, małe plastikowe nie dają się regenerować. Trzeba je wyrzucić. A nowe? Mnie nie udało się kupić, może inni mają więcej szczęścia.

W Łodzi istnieje jeden jedyny warsztat dokonujący regeneracji akumulatorów. Jest to spółdzielczy punkt mieszczący się przy ul. Kaszubskiej. Z całego miasta przyjeżdżają tu kierowcy, więc tłok ogromny, a przyjęcia odbywają się raz w miesiącu. Ostatnie było 3 kwietnia. Jeśli się miało szczęście być pierwszym, powiedzmy nawet dziesiątym, to po tygodniu miało się nowy akumulator, a jeśli było się czterdziestym czy pięćdziesiątym, w kolejce? Wówczas trzeba co najmniej na miesiąc postawić samochód na kołku i czekać. W warsztacie praca jest ciężka, ludzi niewielu, a dziesiątki akumulatorów czeka na regenerację.

Chcę być dobrze zrozumiany. Nie chodzi mi o jakiekolwiek czepianie się kogokolwiek, ale o rzetelny stosunek każdego pracownika świadczącego usługi motoryzacyjne do posiadacza pojazdu samochodowego. Oprócz bowiem stosunku handlowego zachodzi tu także stosunek prawny. Z chwilą przyjęcia pojazdu do naprawy wykonawca bierze na siebie określone zobowiązania.

Wybrałem zaledwie parę przykładów świadczących o nie zawsze właściwym traktowaniu użytkowników sprzętu samochodowego przez „Polmozbyt", a także o trudnościach, na jakie bywają narażani ci, którzy kupując samochód sądzą, iż ujmie on im trosk i ułatwi życie.

Niestety, „droga przez mękę" dopiero się zaczyna.

zdarzenia i zwierzenia

KOLEKCJONERZY

Kolekcjonerstwo rozwija się w ostatnim czasie w zastanawiającym tempie, zatacza coraz szersze kręgi i obejmuje coraz więcej przedmiotów. Dominująca kiedyś filatelistyka ma dziś konkurencję w zbieractwie różnego rodzaju starocі, exlibrisów, starych gazet, zegarów, lamp, militariów, kufli, map, sztychów, monet, banknotów...

Ceny antyków, staroci i dzieł sztuki rosną. **Trzynaście lat temu jedno z polskich muzeów zakupiło sto portretów pędzla Witkacego za... 150 tysięcy złotych, co daje zaledwie 150 zł za jeden portret. Dziś za każdy obraz trzeba by było zapłacić kilkadziesiąt tysięcy złotych.**

Jeszcze dziesięć lat temu można było w „Desie" kupić starą szablę za półtora tysiąca złotych. Dziś niektóre egzemplarze osiągają ceny kilkudziesięciu tysięcy złotych.

Nie sądzę jednak, aby sprawa „lokaty kapitału" czy myśl o zyskownej sprzedaży były powodem tak gwałtownego rozwoju kolekcjonerstwa. **Janusz Sowiński** w pięknej książce **„Wędrówki przedmiotów"** pisze, iż **„wartość materialna przedmiotów nie może przesłaniać faktu, że ich gromadzenie wynika z wielu przesłanek, m.in. ludzkiego instynktu posiadania, radości z odczucia piękna dzieła sztuki, że rozbudza ono instynkt poznawczy, jest formą przedłużania pamięci o przyszłych pokoleniach, a także zapewnienia pamięci przyszłych pokoleń".**

Kulturotwórcza i poznawcza rola kolekcjonerstwa nie ulega dla nikogo wątpliwości, mimo istnienia marginesu spekulacji i kombinacji, bo takie marginesy funkcjonują zawsze w obrębie każdej ludzkiej działalności.

Dlatego też, polecając Czytelnikom uroczą książeczkę Janusza Sowińskiego, polecam również pod rozwagę zainteresowanych władz postulat autora, który pisze: **„Konieczne jest usankcjonowanie Polskiej Federacji Kolekcjonerów. Istnienie i działanie takiego ciała społecznego o osobowości prawnej, które nadawałoby kierunek sterowało organizacyjnie i etycznie całym ruchem kolekcjonerskim, jest nieodzowne. Sprawy te nie zostaną załatwione, dopóki nie ustali się praktycznych zasad polityki kulturalnej w stosunku do szeroko pojętego zjawiska kolekcjonerstwa oraz sposobów jego realizacji".**

Przykładem dobrze rozumianego działania w tej mierze są takie stowarzyszenia, jak choćby **Towarzystwo Przyjaciół Książki** czy **Stowarzyszenia Dawnej Broni i Barwy.** Ale — jak się rzekło — nie tylko książki, exlibrisy i militaria ludzie zbierają.

W innych dziedzinach panuje nieraz przysłowiowa partyzantka. A poza tym... Istnieją prywatne zbiory, często nie opisane, nie skatalogowane, zbiory bezcenne, które właściciele chcą przekazać Państwu, tylko że nikt tego przyjąć nie chce w całości. Nie zawsze dzieje się tak szczęśliwie jak w wypadku bezcennych zbiorów rodziny Przypkowskich, które stały się Muzeum Gnomicznym w Jędrzejowie, czyli tam, gdzie wzięły swój początek.

Ale w książce Sowińskiego jest zdanie, które musi zastanawiać i niepokoić. Oto wyznanie **Jerzego Dunin-Borkowskiego z Krośniewic: „Miałeś przed sobą wyjątkowego zapaleńca, fanatyka od dziecka, któremu pod koniec życia nie udaje się tego wszystkiego co zebrał, ocalić kosztem wielkich wyrzeczeń, zamiłowań — jakoś ustabilizować. Nikt mu nie chce pomóc i apeluje, by w tej ostatniej chwili jakoś to uratować od rozdrobnienia".**

To prawda, że minęła bezpowrotnie epoka wielkich kolekcjonerów, którzy całe swoje fortuny przeznaczali na kolekcjonowanie dzieł sztuki. **Ale pamiętajmy, że to dzięki Bartoszewiczom istnieje w Łodzi Muzeum Sztuki, dzięki Pawłowi Tretiakowi istnieje w Moskwie Galeria Tretiakowska...** Dziś nie ma wielkich kolekcjonerów, ale istnieje wielki ruch kolekcjonerski. I to właśnie dzięki temu ruchowi ocalane są dla przyszłych pokoleń dzieła sztuki i przedmioty kultury materialnej. Dlatego ten ruch powinien uzyskać oficjalną, wysoką rangę — taką na jaką zasługuje w panoramie polskiej kultury.

WIDOK

lewym okiem

TRZECH NA MINUTĘ

Nie mam wątpliwości co do tego, że każda liczba objęta sprawozdaniem na dowolnym szczeblu, a także każda publikowana w jakiejkolwiek formie — wynika z niezbitych „podkładek", czyli... z innych liczb. Bardzo trudno jest przyłapać kogoś na fałszowaniu danych sprawozdawczych, bardzo łatwo takich fałszerstw dokonywać. Pomija się po prostu część danych, innej części nadaje się dowolny sens rzeczowy, dla przykładu: można dodać swetry do odzieży sportowej, albo do wyjściowej — i już znajdą się w różnych ciągach liczbowych. Mogą wcale nie być odzieżą, tylko „wyrobami różnymi" — i pomniejszą w statystyce liczbę swetrów, a powiększą pozycję, na której zależało sprawozdawcy.

Czasami jednak spotykamy liczby od których coś nas z punktu odrzuca, jakiś odruch niewiary; buntuje się w nas nieszczęsny relikt z czasów prostoty bukolicznej — zdrowym rozsądkiem zwany, buntuje się bo nie wie, że jak przyjdzie co do czego, to mu na pewno udowodnią pomyłkę, przekonają liczbą kładzioną na liczbie, liczbą wyciągniętą spod liczb.

Czytam oto w poważnym piśmie wyniki badań, przeprowadzonych przez potężną organizację handlową „Społem", z których to badań wynikło, że:

„Każda ekspedientka sprzedaje miesięcznie towarów wartości 120 tysięcy złotych. Obsługuje przy tym około tysiąca pięciuset klientów dziennie. Każda zmiana w sklepie około dziesięciu razy w ciągu dnia przyjmuje dostawy towarów".

Liczby są imponujące — to wniosek pierwszy. Kto na tym wniosku poprzestaje idzie spać pełen podziwu dla pracy ekspedientek — i właśnie o to chodziło sprawozdawcy. Kto nie poprzestaje — temu nasuwa się wniosek drugi: każda ekspedientka obsługuje z górą trzech klientów na minutę! I zaraz wniosek trzeci: to przecież n i e p r a w d a! Nieprawda, bo w sklepie, gdzie czeka pięciu klientów, ten piąty będzie stał godzinę. No, powiedzmy, pół godziny. Ani minuty mniej. Takie jest nasze doświadczenie codzienne i żadne liczby go nie podważą, choć na pewno wynikają przecudnie z innych liczb.

A tu jeszcze trzeba przyjąć dziesięć dostaw w czasie jednej zmiany! Toż to nieprzerwany strumień towarów do każdego sklepu! Co trzy kwadranse dostawa towaru! Ale bo cóż to za dostawa: jeśli ekspedientka sprzedaje miesięcznie za 120 tysięcy złotych, a w sklepie są powiedzmy trzy ekspedientki, to miesięczną rotacją sklepu objęty jest towar wartości 360 tys. zł, czyli 14.400 zł dziennie, czyli 1.440 złotych powinna wynosić każda z dziesięciu dostaw. Opłaci się to, aż tak rozdrabniać zaopatrzenie? Toż sam dojazd ciężarówki do sklepu kosztuje chyba więcej!

Każda ekspedientka sprzedaje miesięcznie towary o wartości średniej 120 tys. zł, czyli 4.800 zł dziennie. Gdyby tylko co piąty klient naprawdę coś kupował, czyli według badań społemowskich — 300 klientów u jednej ekspedientki dziennie (na każdą sprzedaż miałaby ekspedientka półtorej minuty...) to każdy z nich dałby utargować 15 złotych z groszami. Jeżeli każdy z nas wydaje na artykuły pierwszej potrzeby, a więc zostawia w sklepach „Społem", około 1.500 złotych miesięcznie, to każdy z nas bez wyjątku musiałby odwiedzić 100 sklepów „Społem" miesięcznie i już nie starczyłoby mu czasu ani na pracę, ani na sklepy z wyrobami przemysłowymi.

W „Karuzeli" czytam — ale podane serio, nie satyrycznie — że jedno miejsce pracy w przeciętnym zakładzie przemysłowym kosztuje prawie dwa miliony złotych. Cóż stąd, że ta liczba na pewno wynika z innych liczb, kiedy biedny zdrowy rozsądek znów zgłasza wątpliwości. To ileż lat u Boga Ojca musi człowiek pracować w przeciętnym zakładzie przemysłowym żeby się jako tako zamortyzował? Żeby przestał być tym wrednym pasożytem, do którego wciąż i wciąż dopłacamy — i to kto dopłaca? My — zamortyzowani?

No i widzicie — takie imponujące liczby, a człowiek siedzi przygnębiony i wolałby im wcale nie wierzyć...

ĆWIEK

propozycje

CO się komu PODOBA?

Bogdan Miś — zastępca dyrektora programowego TVP, udzielając wywiadu przedstawicielce „Życia Warszawy", Krystynie Wyhowskiej, wspominał swoje związki z telewizją:

— „To był pionierski okres naszej telewizji. Cały program szedł „na żywo" pracowało się więc w ogromnym napięciu...

Krótko powiem, że po takim jednym programie czułem się wówczas bardziej zmęczony niż byłbym dziś po nagraniu na taśmę magnetowidową czterech podobnych."

Tamte czasy minęły i — jak powiada B. Miś — **„od telewizji w konserwie" nie ma odwrotu".** Dlaczego?

„Bo któż by chciał zrezygnować z technicznych osiągnięć, dających zresztą w sumie ogromną korzyść tak telewidzom, jak i realizatorom."

A jednak tęsknota za „telewizją na żywo" pozostała:

„Ale jednak myślimy też o tym, aby pewne programy, których nastrój i atmosfera są niepowtarzalne, szły na żywo."

Udało mi się nawet słyszeć westchnienie tęsknoty za telewizyjnym teatrem „robionym na żywo" W końcu od dawna wiadomo, że przesada jest niezdrowa i telewizji wcale na dobre nie wychodzi podawanie każdej niemal audycji „w konserwie."

Nie chciałbym przeciwstawiać radia telewizji, ale przecież nie jest tajemnicą, że w konkurencji z obrazem radio zostało zmuszone do poszukiwania nowych i bardziej atrakcyjnych form. I wtedy okazało się, że jeśli dziennikarze radiowi zrezygnują z taśmy magnetofonowej, jeśli wezmą do ręki mikrofon i to nie tylko „w plenerze", ale i w studio, jeśli zaczną mówić bezpośrednio do każdego z radiosłuchaczy, to — choć jest to powrót do starych form — nabierają one zupełnie nowego znaczenia. Sukces „Sygnałów dnia" i „Lata z radiem" najlepiej o tym świadczy.

Dla dziennikarza sprawą najważniejszą jest i będzie kontakt z odbiorcą. Ten kontakt potwierdzają listy i telefony od czytelników słuchaczy i widzów. Taki kontakt ze słuchaczami zadecydował o tym, że obecnie „Sygnały dnia" rozpoczynają się o godzinie 4, a nim doczekamy się lata mamy już „Cztery pory roku" i po „Zimie" nadeszła pora na „Wiosnę". Nie tylko w kalendarzu, ale i w radio.

Z tego wszakże nie wynika wcale, że wszystkie audycje „Sygnałów dnia" „Zimy" czy „Wiosny" w „Czterech porach roku" są znakomite, że nie trafiają się słabsze, że nie można do tych czy innych pozycji przyczepić się, krytykować je. Wydaje mi się jednak, że czytelnik, słuchacz i widz tęsknią za autentycznością, chcą być dzięki radiu, gazecie, telewizji — a już szczególnie dzięki telewizji — niemal naocznymi świadkami wydarzeń. Chcą je mieć szybko, natychmiast.

Kibice piłki nożnej wiedzą dobrze, jak inaczej ogląda się mecz, który jest bezpośrednio transmitowany ze stadionu, a jak retransmisję, kiedy wiadomo że jest to tylko relacja, powtórzenie, że wynik został już wcześniej ustalony, choć my go jeszcze nie znamy. Nic tu już się nie zmieni. Oglądamy tylko to, co było, a nie jesteśmy świadkami tego, co się staje. Różnica dość istotna.

Nie mam zamiaru twierdzić, że skoro „Sygnały dnia" i „Cztery pory roku" są „robione na żywo", to muszą się wszystkim podobać i nie wolno tych audycji krytykować. Przeciwnie jeśli krytykujący wie, o co mu chodzi, to będzie to na pewno z pożytkiem dla tych audycji.

Andrzejowi Lipińskiemu z „Ekranu" bardzo nie podoba się zachwaszczanie języka polskiego wszelkiego rodzaju zawodowymi i urzędniczymi żargonami. I słusznie. Te żargony są tak silne, że człowiek mimo woli łapie jakieś słowo, jakiś termin, przed którym nie może się obronić, a przecież musi. Z przykrością więc obserwuję, jak wielu piszących staje się głuchymi na żargony, na chwasty wyrastające wśród pięknych słów.

Nie rozumiem jednak, co z tym słusznym sprzeciwem mają na przykład „Sygnały dnia". Bo Andrzej Lipiński nie zarzuca, że prowadzący tę audycję czasem ulegają wpływom żargonów, że stają się na nie głusi. Jemu nie podoba się **„wyraźnie słyszalna rześkość, młodziankowatość, krzepkość w głosie prowadzących".** Jemu nie podoba się **„to tempo informacji, przeglądu prasy, ciekawostek, złotych myśli, bez pominięcia wysokości ciśnienia na Okęciu".** Jemu nie podoba się **„łatwość połączeń".**

Cieszy mnie że o radiu pisze się coraz więcej, bo radio na to zasługuje. Ale wydaje mi się, że trzeba też pamiętać, że radio emituje 4 programy, dając tym możliwość wyboru. Dzieje się to w myśl powtórzonych przez A. Lipińskiego pytań: **„Co mówię i do kogo mówię".** Daje to też możliwość wybrania trzeciego programu słusznie przez A. Lipińskiego chwalonego. Wszakże do pytania powtórzego przez A. Lipińskiego: **„Po co mówię"**, warto dodać następne: kiedy mówię? „Sygnały dnia" na przykład wyraźnie i to pytanie biorą pod uwagę.

Odnoszę wrażenie, że A. Lipiński broniąc **„sprawy myślenia"** w radiu przy pomocy chaosu cytatów, aluzji i pretensji tak się w tym poplątał że grzechy jednych przypisał innym. A przecież w krytykowaniu radia nie o to chodzi

MARCIN RODAK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH
Maciej Józef Kononowicz

No cóż – Drobnej Twórczości Wielki Anioł Stróż.

Rys.: Stanisław Ibis Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROZA JUGOSŁOWIAŃSKA

Niemal równocześnie ukazały się powieści trzech współczesnych prozaików jugosłowiańskich — Miodraga Bulatovicia „Bohater na oślе", Ivo Andricia „Konsulowie ich cesarskich mości" oraz Aleksandra Tiszmy „Śladem czarnowłosej dziewczyny". Wszystkie te tytuły ukazały się w serii „Biblioteka jugosłowiańska, której patronuje Wydawnictwo Łódzkie. O pożytku wynikającym z tej serii pisać raczej nie trzeba. Współczesna literatura jugosłowiańska jest jeszcze w Polsce stosunkowo mało znana, wyłączając może z tego twórczość, niemal już klasyka, Ivo Andricia. Można więc mieć nadzieję, że czytelnicy przyzwyczają się do faktu, iż tak, jak prozy skandynawskiej należy szukać przede wszystkim wśród publikacji Wydawnictwa Poznańskiego, prozy iberoamerykańskiej w Wydawnictwie Literackim, tak i książek autorów jugosłowiańskich — wśród tomów dostarczanych przez Wydawnictwo Łódzkie.

Aleksander Tiszma urodził się w 1924 roku. Debiutował jako poeta, natomiast jego debiut prozatorski przypada na rok 1961, kiedy to ukazał się pierwszy tom jego opowiadań. Powieść „Śladem czarnowłosej dziewczyny" wydano w roku 1969. Tiszma należy do tych pisarzy, których interesuje przede wszystkich zwyczajny człowiek, jego nie najciekawsza egzystencja, klęska, jaką ponosi w realizacji swoich młodzieńczych ideałów. Taki jest bohater powieści Tiszmy. Przez 20 lat wraca ciągle do małego miasteczka w Vojevodinie, w którym przeżył kiedyś miłosną przygodę. Z pozoru banalną, ale przecież z czasem urośnie ona do rangi symbolu wiele znaczącego w jego życiu. Bohater nie odnajdzie więcej swojej czarnowłosej dziewczyny, będzie miał jednak okazję do konstatacji zmian, jakie zaszły w postawach różnych ludzi, a także w nim samym.

Aleksander Tiszma — „Śladem czarnowłosej dziewczyny", przełożyła M. Petryńska, Wydawnictwo Łódzkie 1977, str. 149, cena zł 16, —

ANTOLOGIA OPOWIADAŃ RADZIECKICH

Po kilku już tomach wydanych w bodaj najnowszej serii Państwowego Instytutu Wydawniczego, a noszącej tytuł „Kolekcja literatury radzieckiej", można stwierdzić, że seria to nad wyraz udana i znakomicie trafiająca w zapotrzebowanie czytelników. Jedną z najnowszych pozycji tego cyklu wydawniczego jest „Antologia opowiadań radzieckich" w której prezentowane są utwory 38 autorów. Między innymi: Izaaka Babla, Wasilija Biełowa, Kiryła Bułyczowa, Ilji Erenburga, Daniła Granina, Aleksandra Grina, Jurija Nagibina, Andrzeja Płatonowa, Jurija Szczerbakowa, Michała Szołochowa, Wasilija Szukszyna, Jurija Trifonowa, Michała Zoszczenki.

Miłośników literatury radzieckiej nie trzeba chyba zachęcać do lektury tej książki. Szeroka prezentacja autorów gwarantuje świetną prozę i to zarówno od strony tematycznej, jak i formalnej. Pretensje jednak można mieć do wydawcy. Każda przyzwoita antologia zawiera również mniej lub bardziej rozbudowane noty biograficzne. W „Antologii opowiadań radzieckich" not biograficznych nie ma i może to irytować czytelnika, który o pewnych autorach może wiedzieć mało.

Druga sprawa. Dobry to zwyczaj informować kolekcjonera danej serii o tytułach, które już się ukazały lub ukażą się w najbliższym czasie. Niestety i o tym PIW zapomina. Dla wydawcy, cieszącego się wśród czytelników opinią solidnej firmy jest to poważne niedopatrzenie, które byłoby dobrze usunąć w następnych tomach omawianej serii.

„Antologia opowiadań radzieckich" — PIW, Warszawa 1977, str. 542, cena zł 65, —

MAGAZYN kulturalny Nr 5

NASZ AKT

Foto: W. Parys

„NIEDUŻA HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ" (2)

Wykład I — dokończenie tematu **„Bohater — młodej prozy"**; prowadzi **A.W. Pawluczuk:** „NOWY WYRAZ" nr 1/1978.

Zainteresowanie bohatera młodej prozy własnym ciałem uwidacznia się w słownictwie powieści i opowiadań. Wiele w nich miętoszenia, dotykania, miętolenia, międlenia, macania, siorbania, mlaskania, przełykania śliny, rzygania, picia itp. Bogate jest nazewnictwo dotyczące stosunków seksualnych: gućkanie, walenie, rżnięcie, obracanie, deptanie, dmuchanie. Męski członek nazywany jest naganiaczem, nenufarem, fujarą, patafianem.

WNIOSEK: Można poczytać zainteresowanie własnym ciałem za psychospołeczną niedojrzałość trzydziestoletnich (w większości) bohaterów. To dzieci wszakże bawią się brzydko pod kołdrą zafascynowane, iż dotykanie własnych członków sprawia im tyle radości.

Koniec wykładu pierwszego.

FESTIWAL TYTUŁÓW WIOSENNYCH

Dziś kolejne propozycje:

„WIOSNA W MPO" (**„Express Ilustrowany"** nr 71).

„WYRUSZAMY NA POSZUKIWANIE WIOSNY" (**„Głos Robotniczy"** nr 69).

Z cyklu „ANTYWZORY" (1)

Nocne Polaków zabawy

Hucznie i przy pełnej aprobacie (obojętności?) sąsiadów bawili się 1 kwietnia br. mieszkańcy bloku przy ul. Lutomierskiej 105A. Jak donosi nasz korespondent (nazwisko i adres znane redakcji), głównym źródłem hałasu było mieszkanie pana R.J. na parterze. Grała gitara ze wzmacniaczem. Uczestnicy zabawy prześcigali się w popisach wokalnych, swobodnie odmieniając repertuar (od „Szła dziewczyna..." do „A bejbi, bejbi, barabara..."). Prawdopodobnie głosy były wzmocnione (alkoholem i mikrofonem), bo to „Opole" trwające do północy przy otwartych oknach dało się doskonale słyszeć w promieniu 500 metrów. Chór miał swoich solistów, a między innymi sopranistkę, obdarzoną niewątpliwie głosem o największej sile przebicia. Nie mniej hałaśliwie bawili się sąsiedzi z parteru — pan J.K. z przyjaciółmi.

Zachwyceni umiejętnościami wokalnymi wyżej wymienionych osób zachęcamy je do startu w eliminacjach opolskiego festiwalu. Mecenasem tych dwóch zespołów mogłaby być np. Rada Osiedla Żubardź — Zarząd RSM „Bawełna".

OD RED.: Powyższą publikacją rozpoczynamy cykl poświęcony sprawom kultury na co dzień, kulturze narodowego obyczaju rozrywki, zachowania w miejscach publicznych itp. słowem „stylowi bycia" Polaków Anno Domini 1978.

Zapraszamy Czytelników do współredagowania tej rubryki. Sądzimy bowiem, że problem jest aktualny i dotyczy nas wszystkich.

MAGAZYNIER

Z cyklu: „MISTRZOWIE STYLU"

CHAŁTURA PANA KLEYFFA

Choć artysta Jacek Kleyff przybył z lekkim opóźnieniem, publiczność zebrana tłumnie w klubie UŁ „Na piętrze" (za trzy dychy od „łebka") wybaczyła mu i pełna nadziei obserwowała przygotowania do występu. „Dobrze zbiera"— mruknął artysta do mikrofonu i zabrał się do długiej, a wyczerpującej czynności rozkładania na stoliku tekstów piosenek i wierszy albowiem pamięć twórców zawodna bywa.

Nim jednak zaśpiewał główny bohater wieczoru, przedstawiony przez niego przyjaciel-poeta rozpoczął zduszonym głosem czytanie wierszy, a dwie, wściekle terkoczące kamery studentów Szkoły Filmowej, odprowadziły gwiazdę wieczoru za kulisy. Po powrocie dowiedzieliśmy się, że — niestety — żadna z gitar nie nadaje się do użytku, w tym również, ta przygotowana przez muzyków z produkującego się wcześniej zespołu. Krzywiąc się, artysta Kleyff zaśpiewał jednak kilka starych piosenek, jeszcze z epoki „Salonu Niezależnych", i przekazawszy pałeczkę przyjacielowi-poecie zniknął na dłużej, by pojawić się ponownie — już na bardzo krótko — ze słowami pożegnania.

— Zaśpiewaj — padło z sali.

— Sam sobie zaśpiewaj — odrzekł Kleyff i oddalił się.

— Stop — krzyknęli filmowcy.

Nikt nie zażądał zwrotu pieniędzy za bilet.

Mamy gest. Niech żyje chałtura!

BARBASIEWICZ ODEBRAŁ PIENIEK

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru Salonowiec bawił w Teatrze Nowym na setnym przedstawieniu „CIENIA" Wojciecha Młynarskiego, inscenizacji nagrodzonej tegoroczną „Srebrną Łódką". Na widowni, a po spektaklu — wywołany owacją — także i na scenie, pojawił się Autor. Z rąk delegacji studentów symboliczny pieniek dla twórców spektaklu odebrał wykonawca roli Uczonego Marek Barbasiewicz. Delegacja z zadowoleniem przyjęła zaproszenie na bankiet.

SALONOWIEC

IBIS W KRZYŻÓWCE KAŁUŻKI

Ibis — „ptak z bocianowatych, a także popularny karykaturzysta łódzkiej „Karuzeli" (42 pionowo) i współpracownik naszego „Magazynu" Stanisław Gratkowski, odwidził krzyżówkę Jerzego Kałużki, uprzyjemniając nam bardzo „Wielkanocny Relaksik „GR".

MRÓZ O BUTACH

Wielkie poruszenie w kręgach zbliżonych do miejskich szewców wywołała wypowiedź młodego aktora Ryszarda Mroza. „Uważam, że buty, to połowa sukcesu" — oświadczył artysta („GR" nr 67).

KOWALEWSKI POINFORMOWAŁ DRZEWIECKIEGO

„Trubadur" Sławomir Kowalewski poinformował Krzysztofa Drzewieckiego na łamach „Expressu", że piosenka Kowalewskiego do tekstu Drzewieckiego zostanie wydana w Danii. Wiadomość tę K. Drzewiecki przyjął spokojnie, ale z satysfakcją. Czekamy na nowe piosenki, Krzysiu!

RED. J.P. O KOBIETACH

Red. J.P. rozmawiał o kobietach z Honoriuszem Balzakiem. Pełny tekst rozmowy opublikował w świątecznym wydaniu „Dziennik Popularny".

OPERA? CZEMU BY NIE?...

„Sędziowie". Jakiż to materiał na operę! Czemu Wyspiański jej nie napisał, skoro o napisaniu opery marzył?

Teatr Nowy w Łodzi

MAŁA SALA, ul. ZACHODNIA 93

Stanisław Wyspiański

SĘDZIOWIE

Premiera 4 kwietnia 1978 r.

Muzyczność tragedii: począwszy od postaci Joasa, dziecka-artysty, uosobienia Muzyki, przez śpiewność poetyckiego języka, wymiar — na sposób antyczny — tragiczny aż po atrybuty klasycznej opery: koturnowość, wysoki diapazon, patos, retorykę. Kontrastowość postaci, połączonych przecież jednak żarem serca, zdolnością przeżywania uczuć wzniosłych, gorących, ludzkich. Wieśniacy, prości Żydzi, którzy czują jak ludzie a myślą jak filozofowie. I pewna sentymentalność, melodramatyczność, to coś, co łzę wyciska... Czegóż więcej trzeba, by stworzyć operę?

Wyspiański marzył o napisaniu opery i... w gruncie rzeczy napisał ją. Tylko kto i kiedy dopisze muzykę do tego libretta? **(hoff.)**

NA TEN TEMAT KRONIKI MILCZĄ

CZERWONY KAPTUREK SZT. RAZ

RYS. MARIUSZ AMMER

Z ŁODZI I OKOLIC

Na X Festiwalu Filmów o Sztuce w Zakopanem, spośród 17 pozycji konkursowych firmowanych przez WFO, łódzkiemu twórcy przypadła tylko jedna (z dwóch II nagród). Otrzymał ją Ryszard Waśko za film „Wielość rzeczywistości Leona Chwistka". Ale jednocześnie nagrodę „Cepelii" otrzymał Witold Żukowski za obraz „W garncarskim rodzie", nagrodę spółdzielni „Millenium" Andrzej Papuziński (film „Stanisław Zagajewski — ars mea — lux mea"), a nagrodę publiczności Stanisław Lenartowicz — za film „Portret".

* * *

Rozpoczęcie kapitalnego remontu trzech budynków, w których mieścić się będą domy akademickie dla młodzieży szkół artystycznych, w tym też PWSFTviT, budowa (na ukończeniu) Domu Aktora, przekazanie (niebawem) sali kina „Lutnia" na potrzeby teatrów, podobnie jak jednej z sal w budynku Muzeum Historii Miasta — oto niektóre efekty troski partyjnych i administracyjnych władz miasta o środowisko teatralne.

* * *

Dawnej ulicy Bracławskiej (równoległej do ul. Kopcińskiego) nadano imię wybitnego aktora łódzkiego — Józefa Pilarskiego.

* * *

Do końca kwietnia czynna jest w TEATRZE NOWYM wystawa prac czołowego polskiego scenografa ZENOBIUSZA STRZELECKIEGO.

* * *

Obok teatru uniwersyteckiego „La Tripe de Caen", gościła w Łodzi na przełomie marca i kwietnia angielska grupa artystyczna „Cameron and Miller". Dała ona trzy pokazy w ST „Pstrąg". Swoją działalność S. Cameron i R. Miller określają jako „pejzaż żywej przestrzeni". Jest to działalność o charakterze parateatralnym (spod znaku konceptualizmu), polegająca na nieustannej inspiracji przestrzenią i przedmiotami, które się w niej znajdują.

* * *

W MUZEUM OKRĘGOWYM W PIOTRKOWIE otwarto wystawę najstarszych zachowanych do naszych czasów wyrobów piotrkowskich hutników, starych i nowych narzędzi do obróbki szkła oraz oryginalnych, artystycznych wyrobów z obecnej produkcji **„HORTENSJI"**. Zbiory są ciągle uzupełniane nowymi eksponatami.

* * *

Od 6 do 14 kwietnia odbywały się w Łodzi Dni Krytyki Filmowej, na które złożyło się 9 filmów, które nie weszły w skład „Konfrontacji", wybranych przez krytyków. Między innymi zaś: „Eliza moje życie" Saury, „Step" Bondarczuka i „Trzy kobiety" Altmana.

* * *

Już niedługo MUZEUM HISTORII MIASTA uruchomi dział badań i rozwoju kultury materialnej oraz gabinet rycin i numizmatyki.

* * *

Na Bałutach planuje się utworzenie dzielnicowego funduszu rozwoju kultury z dotacji zakładów pracy. Do ważniejszych inwestycji kulturalnych na Bałutach należą w br. dwie biblioteki i klub osiedlowy w osiedlu Zgierska — Stefana.

* * *

Z trzykrotnym recitalem wystąpił w Łodzi Wojciech Młynarski.

* * *

Ponad 300 członków liczy Sekcja Numizmatyczna łódzkiego oddziału PTAiN i jest drugą pod względem liczebności sekcją w kraju. Zbieranie monet, medali, odznak, banknotów — to po filatelistyce, drugie najpopularniejsze w Łodzi hobby.

* * *

Do końca maja br. czynna będzie w MUZEUM ARCHEOLOGICZNYM I ETNOGRAFICZNYM wystawa rzeźby, masek, broni, narzędzi gospodarskich i innych wyrobów codziennego użytku, artystycznych wyrobów z metalu, tkanin i bębnów afrykańskich z Sudanu, Wybrzeża Kości Słoniowej, Gwinei i Konga.

* * *

„ŻYCIE SEKSUALNE DZIKICH, CZYLI SŁODKI DŹWIĘK UKULELE NAD WYSPĄ POLINEZJĄ" — taki wymyślny tytuł nosić będzie druga część tryptyku **KABARETU ESTRADY ŁÓDZKIEJ** (pierwszą część zatytułowano: **„WIELKI SZPAN"**). Premiera „Życia seksualnego dzikich..." — maj 1978.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, za strzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 791. I-2.